27.III.—1.V. miesiąc propagandy prasy ZMP i harcerskiej

Świat MŁODYCH
Nr 9 | WARSZAWA 4. IV. 1949 r. | 10 zł
PISMO MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ I SZKOLNEJ

WIELKIE UCHO...

— Adamczyk!

— Obecny — pada cicha od powiedź gdzieś z ostatniej ławki.

— Brunicki!

— Nie ma — słychać czyjś głos.

— Celiński!

— Nieobecny — mówi Jurek i nie zważając na nauczyciela, który w dalszym ciągu wyczytuje listę obecności uczniów klasy IV-A, zwraca się szeptem do siedzącego obok Stasia Gutowskiego:

— Kto, jak kto, ale ja napewno dziś będę miał pecha. Chyba z piętnastu nie przyszło na geografię. Odkryta pozycja. Zupełnie. Pomóż, stary, co?

— Kwieciński!

— Jestem — spokojnie mówi Jurek i patrzy prosto w oczy wykładowcy geografii. A potem znów zwraca się do towarzysza z tej samej ławki:

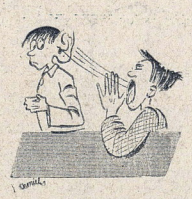

— Stachu, o co może mnie zahaczyć, co? Jak myślisz? No, gadajże, ty... mądralo.

Ale Stach już nie zdążył odpowiedzieć. Skończyło się wyczytywanie listy. Chłopcy z VI-A z zapartym tchem wpatrywali się teraz w „geografa", który wodząc ołówkiem wzdłuż nazwisk, starannie wypisanych w notesie, długo nie mógł się zdecydować, na jakim się zatrzymać. W klasie było aż duszno. Wiara siedziała nieruchomo. Waliły serca, żołądki zdawały się kurczyć z niepokoju... Tylko Jurek Kwieciński nie podzielał ogólnego podniecenia i najspokojniej obgryzając koniec obsadki, wpatrywał się uparcie w nauczyciela. Nagle...

— KWIECIŃSKI!!!

Zerwał się na równe nogi ze słowami: „Słucham pana profesora" i jednoczesnym szeptem: „Trafił mnie. Stachu, liczę na ciebie".

— Może Kwieciński mi powie, co to jest izoterma? Dobrze?

— Izo co? — mówi Jurek— Acha, izoter... izoterma. No, tak, izoterma, izoterma (czego ten dureń Stach milczy) jest to, prawda, no... taki ten, taki punkt (podpowiedzże Stasiek) na tej... na mapie, prawda... A pan profesor pytał właściwie, co to jest izoterma, tak?

— Tak jest, pytam właśnie, co to jest izoterma?

— No, więc mówię, że izoterma, prawda (tyle czasu mu dałem, a ten Stach milczy jak zaklęty) to jest taki punkt... na mapie, który...

— Dziękuję. Niedostateczca. Gutowski Stanisław! Proszę odpowiedzieć na pytanie.

— Izoterma jest to linia, łącząca punkty o tej samej temperaturze — mówi Stach i jednocześnie myśli, dlaczego Jurek tak głupawo się śmieje — Właśnie za pomocą izoterm przedstawiamy przebieg temperatur na powierzchni ziemi...

— Dziękuję. Proszę siadać.

— Pogadamy „po szkole" — zjadliwie mówi półgłosem Jurek — na temat przyjaźni. Ciekawy jestem, co ty o tym sądzisz?

W trzy godziny później Jurek i Stach siedzieli na ławce w parku, położonym obok szkoły. Wymachując rękami, podniesionym głosem mówił Jurek:

— Chcę ci parę słów prawdy powiedzieć. O przyjaźni. Ale tak, jak JA ją rozumiem. Cztery lata razem jesteśmy. Przychodzimy do siebie do domu. Razem się bawimy, razem gramy w siatkę, w nożną, razem wyjeżdżamy na obozy harcerskie, na wycieczki, od lat siedzimy na jednej ławie w szkole. Było nam dobrze. I po takiej przyjaźni jesteś zdolny do robienia mi świństw? Tak, tak, nie przeszkadzaj. Prawdę mówię. Świństwo. Z początku nie zwróciłem na to uwagi, ale powoli, jak oblałem dwa razy algebrę, raz przyrodę i geografię, i to oblałem przez ciebie, boś nic nie pomógł, zaczynałem rozumieć, jakiś ty przyjaciel. No, ale teraz już skończone. Poznałem cię doskonale. Aż za dobrze. Krótko mówiąc, jesteś według mnie samolub i egoista.

— Jurku, pozwól, że ci wytłumaczę...

— Co ty masz jeszcze do tłumaczenia. Ja ci już wszystko wytłumaczyłem. Jutro poszukam sobie innego miejsca w klasie i koniec. Żegnam.

— Jurku...

*

Taką historię opisał nam Stach w liście, który mniej więcej dwa miesiące temu nadszedł do redakcji „Świata Młodych". List kończył się rozpaczliwymi słowami Staszka Gutowskiego: „...Jurek nie jest złym chłopcem. Lubię go, nie chcę go stracić, pragnę, by nadal był moim przyjacielem, ale nie za cenę... ustawicznego podpowiadania. Niech mi redakcja poradzi, co mam począć..."

Redakcja podsunęła Staszkowi pewną myśl w obszernym liście, wysłanym na jego osobisty adres. Ile go trudu kosztowała realizacja tej myśli — nie wiemy. Ale trud musiał być naprawdę duży. Trzeba było Staszkowi zbliżyć się ponownie do Jurka. Wytłumaczyć mu istotę przyjaźni (a to nie było łatwe) i przekonać, że nic wystarczy RAZEM się bawić, wędrować, uprawiać sporty, ale koniecznie trzeba również RAZEM PRACOWAĆ. Z początku szło opornie, ale potem rozkręciło się. Oto w telegraficznym skrócie treść listów Staszka Gutowskiego:

27 lutego. „Panie Redaktorze. Udało mi się zaprowadzić go do świetlicy i przekonać o konieczności wspólnej nauki.

Jednak stanowczo nie zgodził się, by robotę rozpocząć natychmiast."

4 marca: „Panie Redaktorze. Wczoraj wyjaśniłem mu istotę i różnicę między izoternami, amplitudami, izobarami itd. Może coś z tego będzie".

7 marca: „Panie Redaktorze: W ciągu ostatnich dni przerobiliśmy dokładnie zagadnienie klimatów. Jurek już doskonale orientuje się we wszelkich passatach, antypassatach, monsunach itd. Rozpoczęliśmy od początku kurs algebry. Jurek nie ma o tym pojęcia, ale już wiem napewno, że wszystko pójdzie dobrze".

18 marca: „Panie Redaktorze. Wczoraj Jurek „oberwał" czwórkę z geografii. ZWYCIĘŻYLIŚMY".

WIESŁAW FIHEL

ZOBACZCIE, CO POTRAFIĄ NASI KOLEDZY Z CZECHOSŁOWACJI

W gmachu Politechniki Warszawskiej otwarto czechosłowacką wystawę szkolną, zorganizowaną przez Ministerstwo Oświaty, przy współudziale Ambasady Czechosłowackiej w Warszawie.

Na wystawie można oglądać prace uczniów szkół czechosłowackich, począwszy od przedszkolaków, poprzez szkoły podstawowe i ludowe, aż do prac uczniów szkół średnich, ogólnokształcących i zawodowych.

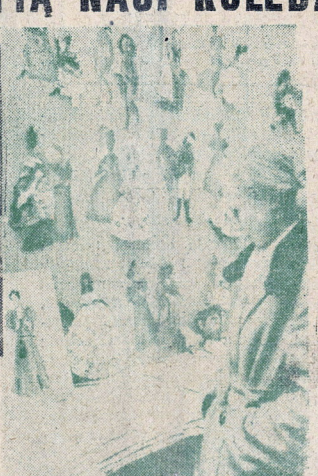

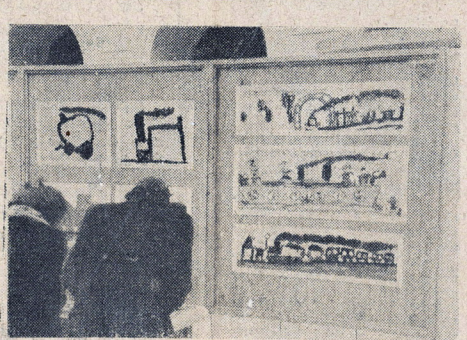

Zdjęcie pierwsze świadczy, z jakim zainteresowaniem polscy chłopcy oglądają pomoce szkolne przedstawiające modele maszyn.

Zula Gaworska z IV-ej klasy szkoły podstawowej Nr 1 zatrzymała się przed pawilonem z kostiumami teatralnymi, może sama kiedyś spróbuje szyć podobne? Rysunki przedszkolaków na trzecim zdjęciu, budzą nadzieję, że za kilkanaście lat Czechosłowacja wyda świetnych rysowników i malarzy.

Rys. Baro

NIE CHCEMY WOJNY!

Rys. Trojanowski

Nie chcemy wojny — mówią miliony ludzi we Francji.

Nie chcemy wojny — mówią miliony ludzi we Włoszech.

Nie chcemy wojny — mówią miliony ludzi w Związku Radzieckim, Polsce, w Anglii, Stanach Zjednoczonych, krajach Ameryki Południowej w Azji i w Afryce.

Młodzież w Rzymie pisze na murach domów: **„Precz z paktem atlantyckim — paktem wojny", „Młodzież włoska nigdy nie będzie walczyć przeciwko Związkowi Radzieckiemu", „Panowie z rządu będziecie walczyć sami".**

W telegramie Związku Młodzieży Polskiej popierającym inicjatywę Międzynarodowego Komitetu Łączności Intelektualistów zwołania Światowego Kongresu Obrońców Pokoju czytamy:

„My Związek Młodzieży Polskiej, synowie i córki bojowników o wolność i pokój, wyrośli w walce z faszystowskim najeźdźcą chcemy w pokoju wraz z całym narodem pracować nad rozwojem i rozkwitem naszej ojczyzny. W bratnim działaniu narodów miłujących pokój, którego wyrazem będzie Kongres Światowy widzimy pewną, niezachwianą gwarancję bezpieczeństwa i pokoju naszego narodu".

A oto oświadczenie uczonych radzieckich:

„My uczeni Związku Radzieckiego przyłączamy swój pełen oburzenia głos protestu przeciwko ludobójczej propagandzie, przeciwko rozpętywaniu nowej wojny, w obronie trwałego pokoju między narodami całego świata".

Kobiety radzieckie, które dźwigały na swych barkach wszystkie ciężary minionej wojny w apelu skierowanym do demokratycznych organizacji kobiecych świata mówią:

„Nie chcemy powtórzenia okropności nowej wojny światowej, nie chcemy śmierci swych mężów, braci i synów.

Świętym obowiązkiem wszystkich kobiet, wszystkich matek jest zespolenie swych wysiłków w obronie pokoju — w imię wolności narodów, w imię przyszłości swych dzieci, i bezpieczeństwa ognisk rodzinnych.

Aby zachować pokój trzeba go bronić".

Znana polska literatka Ewa Szelburg-Zarembina pisze:

„Zwykli ludzi żyć mogą tylko w pokoju. Zwykli ludzie pragną budować — nie niszczyć. Zwykli ludzi chcą być szczęśliwi.

Jestem zwykłym człowiekiem. Nienawidzę wojny. Nienawidzę przemocy. Nienawidzę kłamstwa.

Pragnę sprawiedliwości. Kocham pokój. Chcę móc pracować w pokoju na pożytek innych, sobie — na radość".

Ludwik Solski znakomity artysta dramatyczny oświadczył:

„Obowiązkiem każdego Polaka jest łączyć się z braćmi całego świata, aby uchylić od nas groźbę nowej, niszczycielskiej wojny, wierzę iż jedność klasy pracującej i wszystkich postępowych czynników na całym świecie pozwoli wygrać wielką bitwę o pokój i wolność ludzkości".

Wojny nie chcą robotnicy, chłopi i uczeni, kobiety i młodzież.

Wojny nie chce zdecydowana większość narodów świata.

Kto zatem stara się terroryzować świat groźbą nowej wojny, kto do niej podżega?

Kapitaliści. A wśród nich przede wszystkim kapitaliści amerykańscy, angielscy i francuscy.

Wojna jest dla nich najbardziej zyskownym „interesem". Cierpienia, łzy i krew milionów ludzi przynosi im największe dochody. W roku 1939, a więc w czasach pokojowych, roczny zysk monopoli amerykańskich wynosił 6,4 miliarda dolarów. W czasie wojny roczny dochód wzrósł do 30 miliardów. Trwały pokój umniejszyłby dochody kapitalistów więc bronią się przed nim wszystkiemi zbrodniczymi sposobami: kłamstwem, przekupstwem, prowokacją i terrorem. Ponieważ prawda o istotnych czynach ich wojennej polityki byłaby zbyt rażąca dla obywateli ich krajów, wymyślili bajeczkę o tym, że zbroić się i przygotowywać do wojny należy dlatego, ponieważ Związek Radziecki i kraje demokracji ludowej zagrażają kulturze i niepodległości krajom Europy zachodniej i Stanom Zjednoczonym. Że to Związek Radziecki dąży do wojny, więc oni, Stany Zjednoczone, Anglia i Francja — „niewinne baranki" muszą się ciągle uzbrajać w wilcze kły — w armaty i bomby.

Prasa i radio w Anglii i Ameryce stara się wmówić ludziom, że kolor czarny jest biały, że napastnicza zbójecka polityka pana Trumana (Prezydenta Stanów Zjednoczonych) i jego posłusznego kompana — Bevina (Min. Spr. Zagr. Anglii) jest bogobojną akcją obronną.

Jak ta akcja obronna ma wyglądać możemy się dowiedzieć z angielskiego tygodnika „Time and Tide": „gdy wzmocnimy naszą obronę terytorium obejmującym połowę kuli ziemskiej (t. zn. gdy ujarzmią pół świata — przyp. aut.) będziemy mogli zacząć mówić z Moskwą innym językiem".

Wypowiedź ta ma taki sens: bandyta może dopiero wtedy

Kukiełki Wuja Sama.
Rys. Trojanowski.

czuć się bezpieczny, gdy przełoży rewolwer do głowy obywatelowi, którego pragnie ograbić.

Mimo woli podżegacze wojenni chcący przedstawiać się stale w charakterze niewinnych baranków zdradzają swe haniebne zamiary.

Oto angielski minister spraw zagranicznych, Bevin, przemawiając przez radio z okazji ogłoszenia paktu północno-atlantyckiego (pakt, którego istotnym celem jest przygotowanie napaści na Związek Radziecki) powiedział:

„This pact is meant to prevent pea... — excuse me — to preserve peace".

Co znaczy po polsku:

„Ten pakt pomyślany jest po to, aby zapobiec poko... — przepraszam, aby zachować pokój".

Skąd wzięło się to przejęzyczenie u ministra spraw zagranicznych Anglii (czytaj: kapitalistów angielskich).

Stąd, że pan Bevin chciał wmówić ludziom, że kolor czarny to wcale nie czarny, a biały jak śnieg, stąd, że mówił o zachowaniu pokoju, a myślał o przygotowaniu wojny. Podobna omyłkę popełnił speaker „Głosu Ameryki" tym razem starający się głosić swą prawdę w języku polskim. Powiedział on: „zadaniem Ameryki znowu czytaj: amerykańskich kapitalistów) jest uchronić świat od pokoju".

Ale i bez tych przejęzyczeń miliony ludzi na całym świecie zdaje sobie sprawę do czego dążą anglo-amerykańscy politycy.

Dlatego też miliony ludzi z Moskwy, Warszawy i Pragi, z Paryża, Rzymu i Nowego Jorku postanawiają przeciwstawić się tym zbrodniczym zamiarom.

Dlatego też miliony ludzi ze Związku Radzieckiego, Polski i Czechosłowacji, z Francji, Włoch, Anglii i Stanów Zjednoczonych z krajów całego świata wyślą swych przedstawicieli robotników i chłopów, uczonych pisarzy i artystów na Kongres Obrońców Pokoju.

Wielu z was zapyta: czy wiece, manifestacje, kongresy mogą zahamować wojenne usiłowania właścicieli fabryk broni.

Mogą.

Wojen nie można przecież prowadzić wbrew zdecydowanej woli narodów.

A właśnie na ulicach i placach miast, w halach fabrycznych i na salach kongresowych narody mówią: **Nie chcemy wojny. Chcemy pracować w pokoju na pożytek innym, sobie na radość.**

I nie tylko mówią, organizują się w wielką, świadomą swojej siły armię pokoju. A przed siłą napastnicy zawsze ustępowali i ustępują.

Sekretarz generalny Międzynarodowego Komitetu Łączności Intelektualistów w Obronie Pokoju, Jerzy Borejsza powiedział na obradach Krajowej Narady Obrońców Pokoju w Warszawie:

„My z dumą jedziemy na Kongres do Paryża. Z dumą dlatego, że należymy do potężnego obozu pokoju, na czele którego stoi Związek Radziecki, z dumą dlatego, że w tym obozie stanowimy jedno z poważnych ogniw".

„Wielki światowy ruch pokoju będzie kaftanem bezpieczeństwa nałożonym na obłąkanych podżegaczy wojennych".

ADOLF POPŁAWSKI

ZARZĄD GŁÓWNY — ZARZĄD WOJEWÓDZKI

zaprasza Ob. przedstawiciela redakcji „Świat Młodych"

na Inauguracyjną Akademię

Światowego Tygodnia Młodzieży

która odbędzie się we Wrocławiu w Hali Ludowej dnia 21 bm. o godz. 16,30

Takie zaproszenie otrzymała Redakcja „Świata Młodych". Reporter wsiadł w pociąg i pojechał do Wrocławia.

*

W olbrzymiej Hali Ludowej pełno. Przez miasto ciągną hufce, zastępy, drużyny.

Wszyscy na wielką akademię z okazji ŚWIATOWEGO TYBODNIA MŁODZIEŻY.

Uczniowie, robotnicy z PAFAWAGU — pracownicy biurowi. Zaczyna się akademia.

*

Przemawia członek Komitetu Wykonawczego Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej — Jerzy Morawski.

„Młodzież — nie chce wojny", — a sala odpowiada oklaskami.

W prezydium akademii widzimy druha Ciapę.

Oto jego słowa:

„W dniu otwarcia tygodnia Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej z uroczystości w Hali Ludowej we Wrocławiu, w imieniu Harcerstwa Dolnośląskiego zasyłam wam druhny i druhowie życzenia pomyślnego realizowania naszej Harcerskiej Służby Polsce, która jest wyrazem solidarności z młodzieżą całego świata w walce o pokój!"

Czuwaj!

Ciapa

Po przemówieniach oglądamy występy słowackiego zespołu, śpiewu i tańca. Rozmawiam z harcerzem, Druh Zanicki mówi:

„W czasie okupacji miałem 10 lat, — ale pamiętam wojnę. Przenosiłem prasę konspiracyjną, to był udział w walce o przyszły pokój. Jestem przeciw wojnie i amerykańskim imperialistom".

*

Po akademii maszerują oddziały młodzieży ulicą. Słychać turkot werbli.

To idą harcerze, młodzież szkolna.

Wraz z kolegami z całego świata idą w oddziałach Armii Pokoju. (L).

WILCZKOWICE ROSNĄ W OCZACH

Przed wszystkim nie Willenberg — a **WILCZKOWICE.** To pierwsze, co zrobiono dla tej małej, zupełnie w czasie wojny zniszczonej wioski. Wilczkowice położone są o 30 kilometrów za Wrocławiem, w okolicy góry Sobótki.

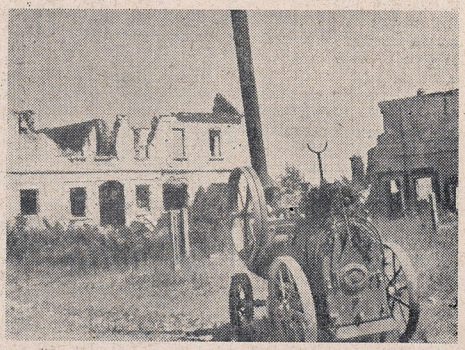

Mało było powiedzieć — wieś zniszczona. Wilczkowic w ogóle nie było. Same gruzy i osmalone szkielety chałup. To, co widzimy na zdjęciu, było kiedyś budynkiem szkolnym. Obok spalone zabudowania wiejskie. A Wilczkowicom trzeba było przywrócić życie. Koniecznie. Bo gleba w tej okolicy doskonale nadaje się do uprawy wszelkich ziemiopłodów i należy do najlepszych na Dolnym Śląsku.

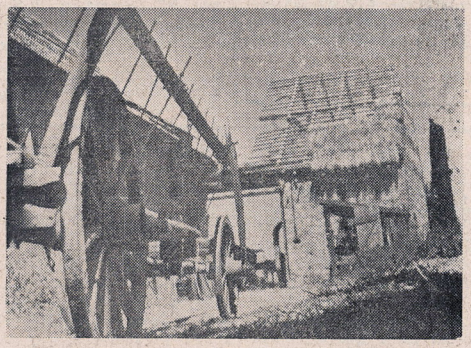

I oto w 1946 roku zajechał do Wilczkowic pierwszy wóz polskiego chłopa. Kto nim był, trudno dziś dociec. Wiedział w każdym razie, że czeka tu na niego wspaniała ziemia, ziemia, która da utrzymanie jego rodzinie i zboże całemu krajowi.

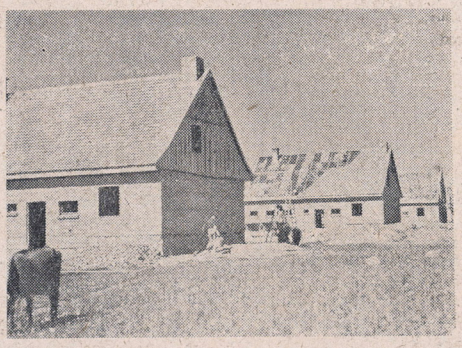

Zrobił dobrze, bo w ślad za nim przybyły tu dalsze furmanki przywożąc coraz to nowych gospodarzy. Zatarli wszyscy ręce — „dalej do roboty" i na gruzach Willenbergu wyrastać zaczęły, jak to widzimy na zdjęciu pierwsze domy nowych Wilczkowic.

A nad robotą czuwał mistrz murarski Augustyn Wypiór. Widzicie jak się śmieje? Ma z czego. „Nie nazywam się Wypiór — powiedział — jeżeli do końca 1948 roku nie zbuduję 26 budynków".

26? A gdzie szkoła, a gdzie gmina? Młodzież Wilczkowic z zapałem zabrała się do roboty. Za nim spostrzegliśmy się, a już chłopcy montują dach.

Dach szkoły. Prawdziwej polskiej szkoły, w której uczyć się będą dzieci wilczkowickich rolników. Sami tę szkołę wybudowali, że aż pozazdrościć.

Jeszcze tylko dachówki umocować. Chłopcy na wyścigi pną się ku górze. A każdy krok w górę, to nowy metr pokrytego dachu. Już nie będzie przeciekać.

...będzie sucho, czysto i jasno. I w szkole i w domach, gdzie pomóc trzeba będzie rodzicom. Teraz znów wiosna i znów nowe powstają domy. Wilczkowice stają się prawdziwą wsią wzorową.

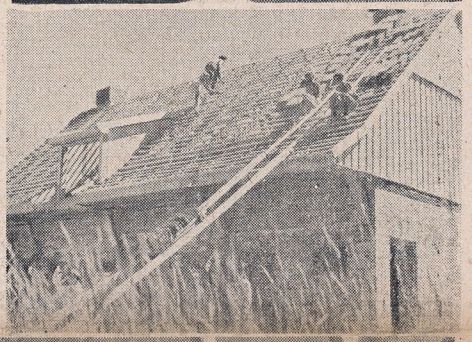

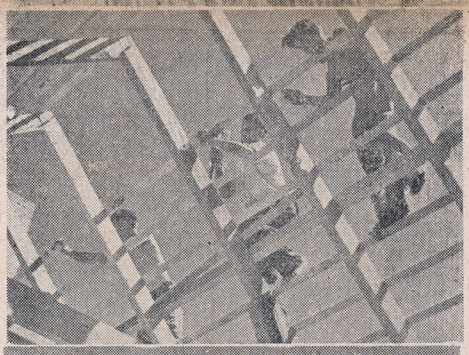

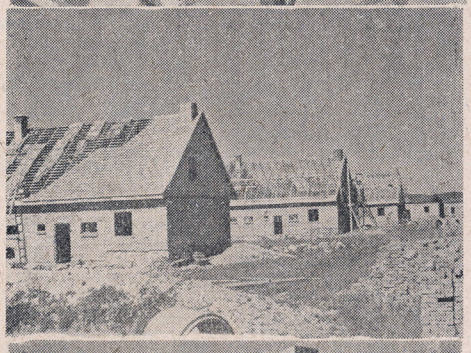

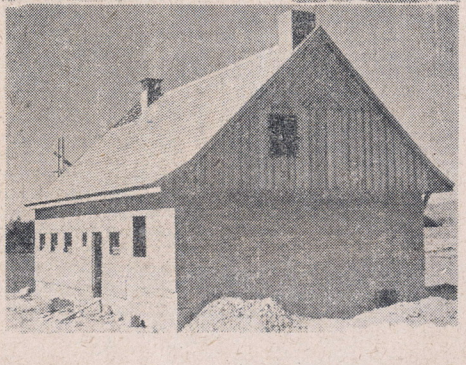

W MARSZU

Co radzi KALENDARZ

27.III. — 1.V

ZADANIE NA CAŁY MIESIĄC

Sprawdzimy w zastępach, jak *wygląda sprawa prenumeraty „Świata Młodych"* i postaramy się, aby nie było ani jednego harcerza i harcerki, którzy by nie prenumerowali naszego pisma. *Pomyślmy, jak przyczynić się do rozpowszechnienia „Świata Młodych" na terenie swej klasy i szkoły.* (Gazetki ścienne, tablice, specjalne pokazy, imprezy, pogadanki, udział w głośnym kolportażu). A może nasz zastęp i drużyna zdobędzie cenną książkową nagrodę za pomysłowe rozpowszechnienie pisma?

Pamiętajcie: „Świat Młodych" jest pismem całej młodzieży szkolnej — a więc obowiązkiem harcerza jest zainteresować nim wszystkich swoich kolegów.

3 kwietnia 1849 roku zmarł wielki poeta polski

JULIUSZ SŁOWACKI.

4 kwietnia 1794 roku — TADEUSZ KOŚCIUSZKO stoczył bitwę pod Racławicami.

12 kwietnia przypada czwarta rocznica śmierci prezydenta USA

FRANKLINA ROOSEVELTA.

Dwie godziny z Mickiewiczem

NIECH to licho porwie! — denerwował się organizator Audycji Mickiewiczowskiej dh. Łuszczyński. Spogląda na zegarek... dochodziła 16-ta, a sala konferencyjna w Domu Harcerza przy ulicy Łazienkowskiej 7 była prawie pusta. Czyżby zainteresowanie twórczością wieszcza było tak małe?

Niepotrzebnie jednak denerwował się druh Łuszczyński, bo przed budynkiem Naczelnictwa zapanował wkrótce ruch.

Przybywają drużyny.

— Druhu drużynowy !Melduję swoje spóźnienie. Od przystanku trolleybusowego biegnie jeszcze kilkunastu chłopców.

□

NA schodach wielki gwar. Słychać tupot wielu nóg. Sala konferencyjna zaczyna się zapełniać.

Piękna sala ,w której odbywają się kursy i wszelkiego rodzaju imprezy, zamieniona została w bardzo interesującą wystawę, obrazującą wędrówkę życiową i twórczą poety, od Zaosia, Kowna, Wilna, Moskwy po przez Petersburg, Krym, Paryż aż do Konstantynopola i następnie miejsca wiecznego spoczynku — Krakowa.

Na pierwszym planie umieszczony jest na stalugach portret Adama Mickiewicza, wykonany kredką. Wzdłuż ścian stoją ekrany z cennymi eksponatami. Ekranów jest dziewięć i każdy z nich obrazuje część życia poety, oraz cykle jego twórczości.

Audycję rozpoczął świetny narrator Teatru Polskiego — ob. Maciejewski. W życiorys Adama Mickiewicza wplecione zostały deklamacje wierszy i fragmentów utworów w porządku chronologicznym ich powstawania, w wykonaniu zespołowym i indywidualnym artystów scen warszawskich.

Czesław Wołłejko porywa słuchaczy deklamacją „Ody do młodości".

Deklamacja zbiorowa fragmentu „Dziadów" wprowadza specjalny nastrój.

Wszystkie recytacje i deklamacje znalazły głębokie zrozumienie u młodych słuchaczy, co też wyrażali burzliwymi oklaskami.

□

Audycja Mickiewiczowska zorganizowana została przez Warszawską Chorągiew Harcerską w ramach akcji upowszechniania kultury.

— Nasza wystawa — jak zaznaczył prof. Olszewski — krążyć będzie po dzielnicach, szkołach, świetlicach ,fabrykach. Jeśli wskaże ona drogę do Muzeum Narodowego i do dzieł poety — demokraty, płomiennego propagatora idei braterstwa narodów słowiańskich — to rola jej i zadanie będą spełnione.

JERZY KASPRZAK

PIERWSZOMAJOWY CZYN OLIWY

HASŁEM miejscowych harcerzy jest: „W szkole, gdzie jest drużyna harcerska, — nie ma ucznia z niedostatecznym stopniem". Obecnie w związku z Czynem Pierwszomajowym, tak zorganizowano samopomoc koleżeńską, by nie było ani jednego ucznia, który został na drugi rok w tej samej klasie.

To jednak harcerzom oliwskim nie wystarczało do uczczenia wielkiego dnia. Przypomnieli sobie, że przecież koło pętli tramwajowej jest pusta działka ziemi: w miejscu tym musi powstać kwietnik!

W Warszawie wspólnym wysiłkiem całej młodzieży polskiej buduje się Centralny Dom Młodzieży. Oliwski hufiec chce również do budowy przyłożyć parę „swoich" cegiełek. Postanowiono dochód z jednej z imprez kwietniowych przeznaczyć na odbudowę CDMu.

Kwiecień jest miesiącem Prasy Młodzieżowej. W związku z tym hufiec przeprowadzi masową akcję zdobywania nowych czytelników i prenumeratorów prasy młodzieżowej.

PABIANICE W AKCJI „O"

W całym kraju trwa akcja „O" — akcja oszczędzania. Wiedzą o tym również harcerze z Pabianic. Postanowili wziąć w niej udział. Po naradach doszli do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli przystąpią do zbiórki złomu.

Od tej decyzji upłynęło parę tygodni, a w Pabianicach co raz rzadziej widać marnujący się złom. Harcerze dobrze wywiązują się ze swego zadania.

Fatalna skrzynka

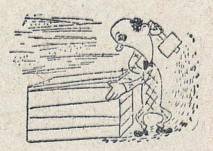

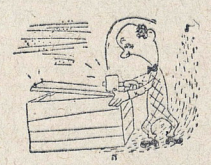

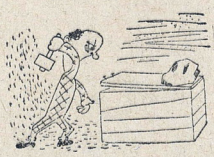

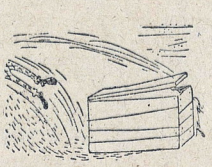

Humor

ROZMOWA

— Czy dziadzio też był niegdyś taki malutki, jak ja?

— Naturalnie, Jasiu.

— To dopiero musiał śmiesznie wyglądać taki mały pętak z brodą i w okularach!

Opowieść starego Lewandowskiego

FRANEK dorzucił drzewa na kominek. Posypały się iskry z poruszonych głowni i płomień buchnął z większą, niż dotąd siłą i jasnością. W świetlicy zrobiło się prawie widno. Blask padł w najdalsze kąty, wydobywając z wieczornego mroku, zasłuchane twarze chłopców.

A stary Lewandowski ciągnął dalej swoją opowieść:

„...miałem wtedy lat 17, więc byłem mało starszy od Was. Do szkoły jednak nie chodziłem już od dawna. Musiałem pomagać matce, która szyła do późna w nocy sukienki zamożnym klientkom. W domu prócz mnie, było jeszcze kilkoro młodszego rodzeństwa. Mieszkaliśmy w Warszawie. Później pracowałem jako robotnik na Woli, w fabryce Gerlacha. Pracowałem po 15-cie godzin dziennie, choć byłem prawie dzieckiem. Płacili grosze. Wracałem do domu, tak zmęczony, że waliłem się prosto na łóżko, nie myjąc się nawet i nie czekając aż matka poda mi jedzenie. Ciężkie myśli nawiedzały mnie. wtedy. Myślałem, że dłużej nie dam rady, że rozchoruję się, albo co...

Staruszek umilkł na chwilę i wpatrywał się w migotliwy ogień kominka. Potem opowiadał dalej:

Był rok 1890.

— Koniec kwietnia. Na fabryce starsi robotnicy zbierali się po kątach i rozmawiali półgłosem. Później dopiero dowiedziałem się, że krążyła wtedy z rąk do rąk odezwa pt. „Proletariat". Twarze robociarzy były bardzo poważne. Do uszu mych dobiegały słowa, że gdzieś... daleko... w Paryżu... tacy sami robotnicy jak my w Warszawie, uchwalili utworzenie międzynarodowego związku robotników, a żądania wysunięte przez nich w sprawie polepszenia losu ludzi pracy na całym świecie, mają być poparte wielkimi manifestacjami w dniu 1 maja. We wszystkich miastach...

O tym szeptali robotnicy fabryki Gerlacha.

Nadszedł wyznaczony dzień. Nie poszedłem wtedy do fabryki. Zresztą jak i wszyscy towarzysze. (Tak brzmiało ciche zarządzenie). Matka z niepokojem żegnała mnie, gdy wraz z kolegą Wackiem, który mieszkał w sąsiedniej sutenerze, szliśmy na pochód.

Jak wielka wzburzona rzeka płynął tłum przez miasto. Wszystkie fabryki, wytwórnie, większe warsztaty, wyznaczyły sobie spotkanie na ulicach Warszawy. 1 maja 1890 roku.

Nachyliłem się w stronę starego robotnika, który szedł obok mnie i wskazując ręką na rozwiniętą czerwień sztandarów, chciałem go zapytać, co one znaczą, dlaczego tak dumnie niosą je ci w pierwszym szeregu i w ogóle dlaczego dziś jesteśmy tu, zamiast w fabryce. Chciałem, żeby mi wytłumaczył. Chciałem wiedzieć... Lecz zamiast odpowiedzi zaterkotał karabin maszynowy, gdzieś daleko u wylotu ulicy. Huk wystrzałów zbliżał się coraz bardziej. Chwyciłem mocno za rękę towarzysza. Strach zjeżył mi włosy na głowie. Tłum zafalował. Czerwone sztandary zadrżały, jakby je przebiegł dreszcz. Z dwóch stron pochodu pojawiły się oddziały carskiej policji i parły na nas. Zaczęłam rozpychać tłum i biec przed siebie, na oślep, nie słysząc przekleństw, nie czując popychań. Nad głową świstało od czasu do czasu. Z trudem wydostałem się na jakiś plac. Tłum i strzały pozostały w tyle. Odetchnąłem swobodnie. W domu matka powitała mnie z okrzykiem radości, jakbym wrócił z tamtego świata.

— A gdzie Wacek? — zapytała.

Stanąłem jak wryty i zrobiło mi się nie wiedzieć czemu wstyd. Chciałem zawrócić, ale matka nie pozwoliła mi. Wacek nie wrócił.

Nazajutrz do fabryki też nie przyszedł. Nie tylko on. Przy maszynach zabrakło jeszcze dwóch towarzyszy. Wacek został zabity, a tamci dwaj ciężko ranni. Inne fabryki też zapłaciły krwawy okup.

Tak, moi chłopcy, wyglądał pierwszy pochód pierwszomajowy i moje spotkanie z Czerwonym Sztandarem, o którym chcieliście, abym Wam opowiedział.

...Czerwony kolor... Robotnicza krew. — Lewandowski ściszył głos.

Już potem nie pytałem nikogo, dlaczego symbolem dla nas — robotników, jest Czerwony Sztandar. Sam zrozumiałem. A zrozumienie to rosło z każdym rokiem partyjnej pracy.

Tych obchodów pierwszomajowych było dużo w moim życiu... Bardzo dużo... — znów wpatrzył się w ogień, jakby robił w pamięci przegląd długiego korowodu pamiętnych dat, pod skrzydłami czerwonych sztandarów.

— Zrozumieliście? — zapytał nagle milczących wciąż chłopców. Pytanie mocnym echem zagrzmiało w świetlicy. Kominek przygasał i dym rozsnuwał się.

Lewandowski spojrzał na zamyślone twarze chłopców. Ich oczy mówiły coś więcej niż zwykłe słowo — tak.

* * *

Nazajutrz drużynowy odczytywał teksty prób na stopnie.

„...wyjaśni, dlaczego czczą Czerwony Sztandar wszystkie narody..." — brzmiało jedno ze zdań próby na stopień ochotnika.

— Czy jego chłopcy potrafiliby to wyjaśnić? — Zastanowił się chwilę i powrócił myślą do wczorajszego wieczoru i opowieści starego bojowca.

Krystyna Garwolińska

Lot A. GARKUSZA

Na brzegach — lasów pożar
Jesiennych liści blaski...
Miga nam przystań „Babi Jar"
I przystań „Sieroglazki".
A Wołga pachnie tak świeżo
Arbuzem nadłamanym...
I tnie Wołgę, jak nożem,
Na bok przeładowany,
„Bajan" — wesołe imię
I statek doskonały.
Wzdłuż stromych brzegów płynie
„Bajanem" urwis mały.
W kotłach ryczy, dudni para,
Lecz chłopak nie tchórzliwy...

Hej, podśpiewuje palacz
I czesze ognia grzywę.
Ryczy i buszuje ogień,
Pot słony spływa na oczy.

Skończył pracę i pokładem
wolno, spokojnie kroczy.
Stoi nad burtą schylony
usta wiatru łaknące —
z oczu spadają zasłony...
W blasku oślepiającym
żarem białym i płynnym
iskrzy się Wołga i złoci,
niby zamachem silnym
skrzydła rozpięte w locie.
Zdjął czapkę z głowy spoconej
I patrzy długo przed siebie,
jak szyją czajki szalone
niebo i Wołgę ściegiem
Wtem nad Wołgą ptak przepłynął
w mgłę wtajał bezszelestną
Marynarz rzekł: „Aeroplan"
i bardzo głęboko westchnął.
Być może w tej właśnie chwili,
gdy statek Wołgą płynie,
sny śmiałe się narodziły
o skrzydłach, locie i czynie.
Po rzece życia dopłynął
do pułku, w Kunawino
dowódca wstał zza stołu
— Kto Was tu do nas skierował?
Spojrzał przybyszowi w oczy,
(wzrok miał ostry jak brzytwa)
— Towarzyszu Komisarzu:
ja chcę latać...
Przyjmijcie...

* * *

Huczące potężnymi silnikami,
pod błękitu ogromną niecką,
eskadry płyną nad równinami
wzmacniając Rosję Radziecką.
Ponad gąszczem luf białych pni
[lecisz —
klucz łabędzi jak struna skrzypki,
a niebo jak szkolny zeszyt:
deszcz drobny, wiosenny, szybki
podkreślił je skośnymi liniami.
Nie śmigniesz ptakiem chyżo i
[wartko —
Tyś uczeń — tylko pilot zna stery...
Lecz z każdą nową zapisaną kartką
Twardszy wzrok i pewniejsze litery...

* * *

W chmury wgryzając się wiertłem,
ku słońcu wprost — przebojem!
Ziemia skinąwszy lasami
Dzieli zenit na dwoje.
Nurkuje, skręt wiąże ciasny —
Jest racą i wybuchem...

Ptak z tysiąc pierwszej baśni
Leci do góry brzuchem!
W dole chatki, błyski okien
i nieuczesane strzechy.
Tam dziewczęta bystrookie,
i bosonogie smyki,
głowy zadzierają śmiało
„Patrz maszyna niebo orze!"
Czarno - ryżo - blond i biało...
Kołyszę się loków morze —
Gdzie wśród Was, chłopcy, Gastello?
Gdzie jest Pola Osipienko?
Muskając lekko obłoki,
lecieć w górze jak ciepły wiatr
Iskry krzesząc w niebie wysokim,
by po jasnej drodze szli w świat!

* * *

Uczyć się wciąż, każdego dnia,
swój każdy lot
obejrzeć z bliska!
Właśnie dlatego
każdy start
on po powrocie z lądowiska
rozważa siedząc przy stole.
Z czoła
włosów zgarnął kosmyki,
bierze zeszyty, podręczniki
i książki
oddawna znane.
Zaczyna wszystko od początku
jakby nie jadł lotniczego chleba
i jak nieopierzony młodzik
dwa dni temu ujrzał ziemię z nieba.
— Abecadło nam nie zbrzydło!
Musimy kuć jak koniugacje
jak robi się ślizg na skrzydło.
Wzorem rozgryźmy grawitację.
Noce bezsenne jak kamienie mił.
Jak uczeń świadomy swych dążeń
przerzucał stronice książek,
aby znaleźć między wierszami
czkałowski
niepowtarzalny
styl.

* * *

Okres przelotów, —
pięciolatek czasy nastały...
Pierwszy maj, rok trzydziesty i piąty...
Wieść nadbiegła: „Przyjecha! Stalin!"
Jak powitać takiego gościa?
Nie zdążyli nie, nie obgadali,
a On przyszedł, prostym słowem
[pozdrowił,
jakby z nimi rozmawiał sto razy.
Idzie. Czują uścisk ręki silny.
Stukot serc towarzyszy mu stu.
Siwy dymek jego fajki słynnej
bliżej, bliżej...
I już jest tu:
— Towarzyszu Czkałow, mówią, że Wy
spadochronu nie uznajecie?
(serce nagle zamarło i drży)
— Samolotom wierzycie w locie?
Milczał chwilę i dodał surowiej,
jakby duszę otworzył u syna:
— Twe życie nam bardziej drogie
niż jakakolwiek maszyna.

* * *

— „Twe życie nam droższe od
[wszelkich maszyn"...
Z tymi Wodza drogimi słowami
nad tajgą syberyjską krążył,
przeleciał nad wiecznymi lodami.
Gdy zmęczenie zawładło rękoma,
się sercu wracała na nowo:
leninowska sylwetka znajoma
i najprostsze stalinowskie słowo.

* * *

Dziś niezwykły dzień:
gości czeka sień;
przyjdą nie zwlekając
we dwóch:
skromny Sasza, wesoły Bajduk...
Na stole ani jednej zakąski,
nie płonie tęczobarwne wino,
a miast zielonego arbuza
kuli ziemskiej łysina...
Zasznurowana z merydiany
biegunami wabi z daleka —
przez bieguny, przez oceany
śmiały przelot na nich czeka!
Przecinając granicę nocy,
doganiając szybkim lotem świt,
nad zielonym morzem uroczysk,
nad białymi plamami tundr:
i nad wspaniałą panoramą
gdzie w ciszy trwa walka lodowa,
nad ostatnim obozem „Frama".
nad płomieniem ogniska Siedowa,
wąż trasy usypia syty:
Przed nimi Kaukazu szczyty
i kubańskich topoli...
Witaj ziemio zawsze ojczysta!
Ziemia cień maszyny przytula,
cień jak matkę obejmuje skrzydłami...
— Przygotujcie się witać, chłopcy!
Chłopcy, w dole Moskwa przed nami!

* * *

Trzech ich siedzi i marzy śmiało,
brak maszyny, lecz jest załoga.
Północ... Mapa... Krążek z gwiazdą
[małą...
Linią ołówka biegnie droga.
Ten lot będzie, będzie, będzie!

Wstań wówczas, otwórz oczy:
popatrz, kulę ziemską wszędzie
naszych ludzi lot otoczył...
Myśl Twoja leci jak ptak.
Twój lot — przez wieki przenika...
Wiecznie bić będzie serce
Pilota — bolszewika:

Tłumaczył
JANUSZ PRZYMANOWSKI.

ZŁY »PRIMA APRILIS«

Romek chodził ze mną do jednej klasy. Nosił sygnet na palcu, chwalił się przy każdej okazji swoją rodziną, (ciotka — hrabina, siostra wyszła za mąż za barona), pod szkołą czekało zawsze na niego auto. Nazywaliśmy go „ananas z geneologicznego drzewka". A na „Prima — Aprilis" chłopcy zrobili mu kawał. Wyszliśmy wtedy ze szkoły wcześniej niż zwykle. Roman nie spiesząc się ubierał się właśnie w szatni, kiedy z dołu doleciał go wrzask.

— Roman gazu! Ciotka hrabina przyjechała po ciebie karetą zaprzężoną w rodowe cuganty...

Zbiegł ze schodów i...

...Na jezdni stał, wesoło strzygąc uszami, zaprzężony do wózka pełnego śmieci, poczciwy osiołek...

Roman skrzywił się z politowaniem.

— Też macie się z czego śmiać. Odrazu wiedziałem, że to „Prima Aprilis". Tylko szkoda, że nie stać was na coś dowcipniejszego.

Odszedł godny i zadowolony z siebie.

Ale odtąd już nie przyjeżdżał do szkoły autem. I rzadziej mówił o ciotce — hrabinie. Przekonał się, że to nikomu nie imponuje.

Działo się to w roku 1937 — gdy chodziłam do 3 kl. gimnazjum.

*

Dzwonek. Zig. że przerwano mi pisanie felietonu zanim się zabrałam porządnie do pracy, idę otworzyć. W drzwiach stoi Felek i ze łzami w oczach pokazuje mi jakąś kartkę.

— Popatrz co dostałem na „Prima Aprilis" — mówi.

Biorę, oglądam. Głupi, obrzydliwy rysunek z jeszcze głupszym podpisem: „czy mogę zapalić papierosa od twojego czerwonego nosa".

Felek ma rzeczywiście czerwony nos. Odmrożony. Chodzi do lekarza, kupuje stale jakieś lekarstwa.

— Przecież nie można wyśmiewać choroby ani kalectwa — mówi rozżalony. Głupi zwyczaj to wysyłanie „prima — aprilisowych" pocztówek.

Oglądam drugą stronę karty. Jest na niej numer serii, kolejny numer pocztówki. Pocztówka, którą mi pokazał Felek nie jest jedyną jaka dostała się do moich rąk. Wszystkie są okropne, jeszcze gorsze niż ta. Numer serii 205, najwyższa liczba kolejna 25.

*

Tradycja „prima aprilisowa" liczy sobie ładne parę wieków, bo pochodzi od starorzymskich igrzysk wiosennych. Zwyczaj przewędrował całą Europę i przyjął się we wszystkich krajach. Na zachodzie Europy urządzano 1 kwietnia wesołe widowiska pod gołym niebem, coś w rodzaju obecnych szopek politycznych, gdzie można było powiedzieć bezkarnie prawdę, za którą w każdym innym dniu trzeba by było w owym czasie odpokutować w więzieniu.

Potem widowiska „prima aprilisowe" ustąpiły miejsca wyszydzaniu ludzi, ich błędów i wad. Nierzadko ich kalectwa.

Inne były formy życia przed kilkuset lat. Świat idzie naprzód. Nie śmiejemy się z kulawego, ani garbatego dlatego, że jeden kuleje, a drugi ma garb. A przecież był czas, kiedy w podręcznikach dobrego wychowania pisano: .....a kiedy garbus do salonu wejdzie śmiechom i zabawom nie ma końca".

Ale gorąco namawiam do wyszydzania innego rodzaju kalectwa. Głupoty. Głupoty ludzi, którzy wysyłają prima — aprilisowe pocztówki i braku odpowiedzialności — wydawców takich pocztówek.

WANDA CHUTOMSKA

UWAGA CZYTELNICY I KORESPONDENCI HARCERZE I KOLEDZY ZE SZKÓŁ PODSTAWOWYCH

Wszelką korespondencję dotyczącą naszego pisma, należy przesyłać bezpośrednio na adres Redakcji, Warszawa, Dworkowa 1 3.

Podajemy to powtórnie do wiadomości wszystkich, z tego powodu, że wysłanie listów na adres Naczelnictwa ZHP opóźnia odpowiedzi Redakcji jak również zamieszczanie Waszych prac na łamach pisma.

ujarzmiona WODA

TAK BYŁO...

...„Zostawiamy za sobą ruiny i zgliszcza" — powtarzali się hitlerowcy uciekając z Rosji. „Na puszczyni, która po nas zostanie nie wyżyje nikt" — mówiły komunikaty OKW. Słaba była to satysfakcja dla zniszczonej armii — satysfakcja złapanego bandyty, którego jedyną „pociechą" jest to, że zabił. Ale nie ziściły się marzenia hitlerowskich bandytów o pustyni na wieczne czasy. W ich obliczeniach nie był wzięty pod uwagę jeden czynnik — wola radzieckiego narodu. Gdy wojska niemieckie wycofały się z Dnieprogesu wyglądał on tak jak na ilustracji powyżej. Wielka tama na Dnieprze była zniszczona, a turbiny w elektrowni rozbite i całkowicie nie nadające się do użytku. Ale minęło 5 lat...

*

Minęło 5 lat: Dnieproges wygląda tak, jak na zdjęciach u dołu. Zaraz po wycofaniu się Niemców, naród radziecki przystąpił do pracy. Trzy wielkie fabryki produkowały maszyny do hydroelektrowni. W 1947 roku Dnieproges ruszył. Ostatnio gazety doniosły o uruchomieniu czwartego zespołu turbin. Piąty zespół jest w instalacji. Po przewodach wysokiego napięcia rozchodzi się po całej Ukrainie energia elektryczna z Dnieprogesu.

JEŻELI spalimy dziesięć kilo węgla, to wiemy, że dostarczy on nam pewną ilość ciepła. To ciepło możemy za pomocą maszyny parowej zamienić na energię elektryczną. Jeżeli obliczymy ilość otrzymanej energii, okaże się, że jest ona o wiele mniejsza od energii, jaka była zawarta w węglu. Reszta ciepła rozproszyła się — poszła na ogrzanie maszyn, na pokonanie oporu trybów itp. Wydajność maszyny parowej jest więc niewielka. Tymczasem współczesna technika pozwala nam budować turbiny wodne o wydajności 90%, tzn. takie, że 90% energii uzyskanej przez spadek mas wody zamienia się w turbinie na energię dla nas użyteczną, np. elektryczną. Energię elektryczną możemy przesyłać na dowolne odległości z bardzo niewielkimi stratami. Jeżeli do tego dodamy, że woda nas nic nie kosztuje — zrozumiemy, dlaczego w ostatnich latach nastąpił tak wielki rozwój wodnych elektrowni.

Jednym z największych na świecie zakładów wodno - elektrycznych jest zbudowany na Dnieprze — **Dnieproges.** Rząd radziecki rozumiał, że budowa takiego zakładu da możność dostarczenia dla każdego budynku na Ukrainie światła elektrycznego, da możność zbudowania wielu nowych fabryk. Budowa Dnieprogesu rozpoczęła się już przed wojną. Niemcy uciekając zniszczyli wszystko, ale Dnieproges został odbudowany i w ostatnich dniach prasa doniosła o uruchomieniu czwartego zespołu turbin. Mimo trudności, jakie sprawia montowanie maszyn obok już działających, przewiduje się uruchomienie piątego zespołu tak, aby zdążył on przyjąć wiosenny przybór wód. Także w 1949 roku zostanie oddany do użytku szósty zespół turbin. To niespotykane dotychczas tempo robót jest jasne, jeżeli się zrozumie, że w budowie maszyn do Dnieprogesu współpracują 3 fabryki metalowe, jeżeli się wie o ulepszeniach technicznych, o wielu nowych pomysłach, jakie wnoszą robotnicy pracujący przy budowie — jeżeli się zrozumie ludzi radzieckich odbudowujących swą Ojczyznę.

*

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej 50% wydatków idzie na zbrojenia. W ZSRR suma wydatków na utrzymanie armii jest bez porównania mniejsza. Większość wydatków idzie na budowę nowych domów, nowych fabryk, nowych szkół. Wśród tych sum znajdują się miliony rubli wydatkowane na budowę Dnieprogesu, na budowę wodnej elektrowni na rzece Syr-Daria, na wiele innych elektrowni. Ruble te idą na to, aby wszyscy ludzie w Związku Radzieckim mieli w mieszkaniach światło, aby im nie groziła powódź, aby mogły pracować fabryki dostarczające im ubrań, mebli, rowerów.

(k)

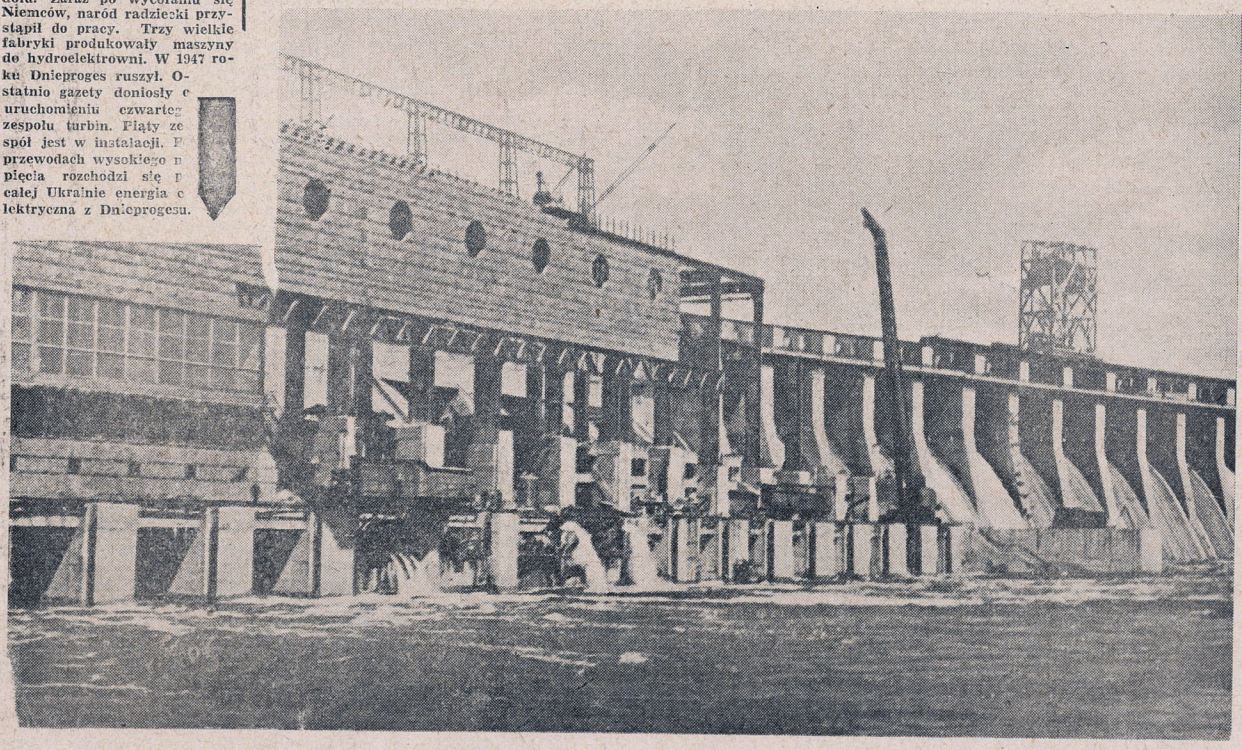

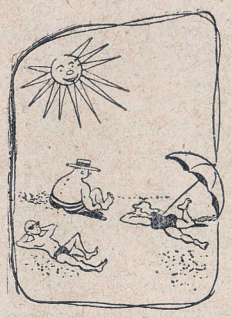

ZAPYTAJCIE się kogoś, kto właśnie wrócił z wakacji, do czego służy słońce. Odpowiedź zwykle brzmi, że do opalania. Jak się jednak okaże, słońce ma o wiele większe znaczenie w naszym życiu, niżby się wielu ludziom zdawało.

Z górki cieknie potoczek. Po drodze rozrasta się, zmienia w rzeczkę, później w wielką rzekę i wpada do morza. Tak się dzieje teraz, działo się dawniej i prawdopodobnie jeszcze długo będzie się tak dziać. Każdy zbiornik ma jednak ograniczoną pojemność. A woda ze źródła cieknie i cieknie, jakgdyby nigdy nie miała przestać. Do morza wpadają rzeki niosąc olbrzymie ilości wody — a poziom wody w morzach nie zmienia się. Jak to się wszystko dzieje? Skąd się bierze woda w źródle — co się dzieje z wodą w morzach? Tajemnicę tę wyjaśnia nam... słońce.

Woda we wszystkich wielkich zbiornikach, jakimi są oceany, morza i jeziora, w słoneczny dzień ogrzewa się i paruje. Para leci w górę, skupia się w chmury, wiatr niesie chmury daleko nad ziemią. W pewnym momencie para w chmurach skrapla się w większe kropelki — pada deszcz. Deszcz spada na ziemię, woda w nią wsiąka, zbiera się w podziemnych strumyczkach i gdzieś wytryskuje na powierzchnię ziemi jako źródło. Woda ze źródła cieknie w dół, tworzy się strumyczek, rzeczka, rzeka rzeka wpada do morza... a co dalej, to już wiecie. Tak więc ciepło, jakie słońce dostarcza ziemi powoduje, że płyną rzeki i że nigdy się w nich woda nie wyczerpie.

Ale tak, jak słońce służy nie tylko do opalania — tak samo i rzeki służą nie tylko do kąpania się. Rzeka może by groźna. Na wiosnę, gdy pękają lody, gdy z gór ściekają wielkie masy roztopionego śniegu, poziom wody w rzekach wzrasta. Małe strumyczki zamieniają się w wielkie rzeki, woda niszczy domy, zrywa mosty, podmywa drogi. Taka wiosenna powódź jest wielką klęską, skutki jej odczuwa się bardzo długo. Jak można jej zapobiec? Długo ludzie myśleli, były nawet specjalne modlitwy mające chronić od powodzi, — ale nie pomagały. Pomógł dopiero rozwój techniki. Zaczęto budować tamy.

W dolinie płynie rzeczka. Na wiosnę staje się ona wielką rzeką, niosącą zagładę okolicznym wsiom. A gdyby tak dolinę zamknąć tamą — pomyśleli ludzie. Jak mówiono, tak zrobiono. Gdy na wiosnę podniósł się poziom wody w rzece, zamknięto śluzy w tamie przepuszczając tylko tyle wody, ile płynie normalnie. Dolina napełniła się wodą, — ale za tamą powodzi nie było. Gdy minęła wiosna i poziom wody opadł, powoli wypuszczono wodę nagromadzoną w dolinie. W ten sposób nauczono się unikać powodzi. Ale to nie było wszystko. Ludzie zaczęli myśleć o wykorzystaniu wody, o zaprzęgnięciu jej do pracy.

...Woda porywała domy, niszczyła mosty. Co to znaczy? To znaczy, że płynąca woda ma siłę, że woda może wykonać jakąś pracę. Dotychczas praca ta ograniczała się do drążenia koryta rzeki, do niszczenia dobytku ludzkiego w czasie powodzi. Czy nie możnaby jednak zmusić wodę do pracy pożytecznej dla ludzi? Rozwój techniki umożliwił zrealizowanie tych marzeń. Wynaleziono mianowicie turbinę.

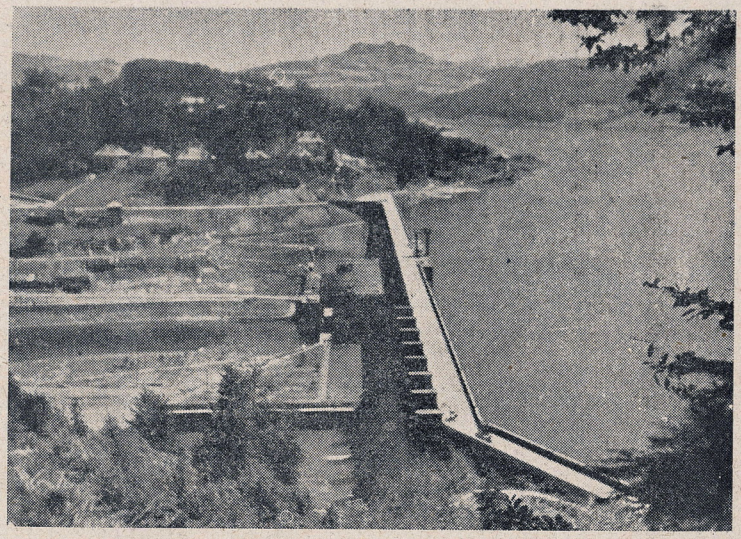

Zasadniczą częścią turbiny jest wielkie koło z łopatkami. Na łopatki pada woda z góry i obraca koło. Za pomocą pasów transmisyjnych obracające się koło turbiny porusza maszyny np. elektrowni.

A więc turbiny do pracy potrzebują pewnego spadku wody. Ale przecież my mamy już różnicę poziomów wody! Ze śluz w tamie, o której przed chwilą mówiliśmy, spada wielka ilość wody niewykorzystana. Wystarczy więc z jeziora, które tworzy się za tamą poprowadzić osobny kanał, w kanale umieścić koło turbiny, nad kanałem zbudować elektrownię i produkować prąd elektryczny. W dodatku ten prąd nie będzie nas prawie nic kosztował. Najważniejszy bowiem koszt — koszt opału, jakim jest w elektrowni węgiel — w elektrowni wodnej odpada. Woda nic nie kosztuje i możemy nią dysponować w dowolnych ilościach. Co więcej — budując elektrownię wodną przy tamie, osiągamy jednocześnie dwa cele. Po pierwsze chronimy [illegible] przed powodziami, po [illegible] gie produkujemy tanio elektryczność, którą następnie po przewodach wysokiego napięcia można przesyłać do wszystkich ośrodków przemysłowych.

Wszystko w porządku — powiecie. Gdy produkujemy w mieście elektryczność w „zwykłej" elektrowni, poruszanej węglem — to wiemy skąd się ta elektryczność bierze. Energia zawarta w węglu, zamienia się na energię elektryczną. Ale z czego powstaje elektryczność w wodnej elektrowni? Z energii zawartej w płynącej wodzie. A skąd się bierze energia płynącej wody? Przypomnijmy sobie, o czym mówiliśmy na początku. Słońce unosi wodę z mórz, która następnie rzekami wraca spowrotem do morza. Słońce unoszące wodę wykonuje pracę. Tę samą pracę zwraca nam woda, płynąc do morza. Energia płynącej wody jest więc przekształconą energią słoneczną. Ujarzmiając więc wodę i zmuszając ją do pracy pożytecznej, człowiek zaprzągł jednocześnie do tej pracy słońce.

HAK.

W POLSCE znajduje się też kilkanaście elektrowni wodnych. Największą z nich jest elektrownia w Rożnowie. Budowę jej zaczęto przed wojną, jednakże do 1939 roku nie została ukończona. Niemcy wycofując się, częściowo elektrownię zniszczyli, ale po wojnie w szybkim tempie odbudowa została ukończona. Na zdjęciu widzicie tamę i znajdujący się za nią budynek elektrowni. Całe olbrzymie jezioro widoczne po prawej stronie, powstało sztucznie po zbudowaniu tamy!

Elektryczność z elektrowni rożnowskiej zasila zakłady na Śląsku, a dzięki wybudowanej po wojnie linii wysokiego napięcia Śląsk — Łódź — Warszawa w godzinach największego obciążenia dociera do Warszawy.

Oprócz największej elektrowni w Rożnowie, w Polsce znajdują się także duże zakłady wodno-elektryczne na Pomorzu (Żur i Gródek), na Ziemiach Odzyskanych (Pilichowice, Bielkowo), których prąd zasila całe województwa. W ramach planu sześcioletniego przewiduje się zbudowanie w Dynowie wielkiej tamy chroniącej przed częstymi wylewami Sanu. Przy tamie powstanie elektrownia o mocy Rożnowa.

...A TAK JEST

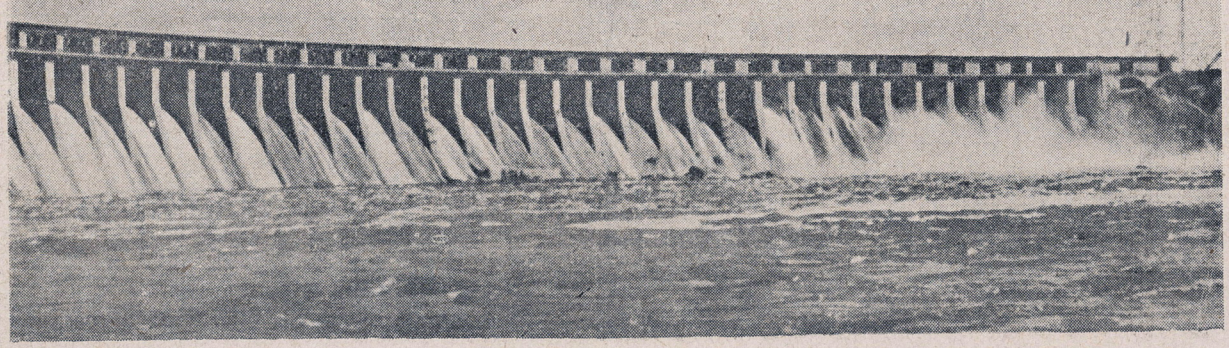

KTOBY nie lubił śpiewających ptaków? Nawet prawo bierze je pod ochronę i dba, aby nie ginęły, natomiast my pomagamy im zakładać gniazda w naszych ogrodach, by uszczęśliwiały nas swym pięknym śpiewem. Ten, kto posiada w swoim sadzie słowika, uważa to za pewne wyróżnienie przez przyrodę.

Tylko uliczni śpiewacy stanowią wyjątek.

W odróżnieniu od śpiewających ptaków wybierają oni na miejsce popisów stolicę — i do tego jeszcze najuboższe dzielnice. Podczas gdy — powiedzmy na przykład słowik śpiewa w parku lub ogrodzie dla wszystkich bez wyjątku — śpiewak uliczny nigdy więcej nie będzie śpiewał na podwórzu domu, nawet choćby tam śpiewał całymi latami — jeśli na skutek jakiegoś remontu dom ten zyskał na świetności i dzięki temu otrzymał nowych i bogatszych mieszkańców.

Bo śpiewak uliczny najchętniej śpiewa biednym. Na podwórzach odrapanych domów pojawia się dopiero z nadejściem zimy, kiedy już śpiewające ptaki umilkną — i z przyjściem wiosny znowu znika. Widocznie głód i zimno najlatwiej wyduszają melodie z jego gardła.

Jeszcze gdzieś przed dziesięciu laty śpiewacy uliczni stanowili w Kopenhadze powszechne zjawisko, ale przyjaciółmi ich byli jedynie biedni ludzie — inni mieszkańcy nie mogli ich ścierpieć. Przepisy, które chroniły śpiewające ptaki, ich nie dotyczyły. I dlatego właśnie zdarzało się czasem, że na najpospolitszym podwórku nie zabrzmiała ich pieśń.

A teraz opowiem wam historię ostatniego śpiewaka ulicznego.

*

Mechanik Vang pochodził z tych samych warstw co wielu tenorów światowej sławy, i jak oni, także potrafił śpiewać. Większość sławnych śpiewaków czy śpiewaczek rodzi się w domach ubogich; żywotny optymizm tak charakterystyczny dla biedaków pomaga im później odnosić sukcesy.

Otóż Vang posiadał wspaniały głos i często myślałem o tym jak daleko by z tym zaszedł, gdyby...

Ale moje rozważania były właściwie zbyteczne, bo Vang był już mechanikiem — no i miał żonę oraz dzieci. Poza tym zawód wykonywany podobał mu się. Śpiewał tylko żonie i dzieciom, podobnie zresztą jak to czynią śpiewające ptaki. Zawsze, kiedy pod wieczór wracał z pracy do domu, w budynku od strony podwórza otwierali mieszkańcy frontowego domu okna, aby móc posłuchać śpiewu Vanga.

Mieszkałem w pokoiku na poddaszu z widokiem na podwórze i przez wiele wieczorów wysiadywałem po ciemku, wsłuchując się w melodie, płynące z jego gardła lekko i niestrudzenie jak u skowronka. Jakże często śniłem do późnej nocy o tych pieśniach, opiewających własne gniazdo! Było to dla mnie drogocennym odpoczynkiem po całodziennej wytężonej pracy, a także wielką pociechą w mojej samotności.

Pewnego wieczoru Vang nie zaśpiewał. Zdarzało się to od czasu do czasu, kiedy chodził wieczorem ze swoją żoną do kogoś w odwiedziny, albo kiedy miał jakieś inne zajęcie: uważałem to za coś oczywistego, pocieszając się, że to się nie zdarza zbyt często. Ale tego wieczoru cisza ta wydawała mi się nad wyraz osobliwa, wprost nie do zniesienia. Miałem jakieś złe przeczucie, że w tym małym gniazdku na trzecim piętrze musiało się coś stać. Następnego wieczoru Vang też nie zaśpiewał. Wypytywałem o to w kamienicy, i dowiedziałem się, że stracił pracę. Więcej nie musiałem pytać. To mi wystarczyło. Bezrobocie — owe przeklęte słowo — wszystko wyjaśniało.

Bezrobocie zimą dla ludzi, zamieszkujących ubogie dzielnice miejskie jest równoznaczne z epidemią cholery albo moru.

Nikt nie ma pewności czy dożyje następnego dnia. Jak tylko wybuchnie w jakiejś dzielnicy miasta, to tak jakby splunęła swoim śmiertelnym jadem w oblicza wszystkich; twarze ich szarzeją i nabierają osobliwego, zdrętwiałego wyrazu. A jeśli spotkają się tacy dwaj ludzie, ich posmutniałe oczy zdają się mówić: — cóż ty jeszcze tutaj?

Ziemia jest zawsze gotowa przyjąć jednego z nich w swoje objęcia — nikt nie wie kiedy to nastąpi. Gdy obaj żegnają się, myślą w skrytości: który z nich będzie tym pierwszym. Wieczorem kładziesz się jak zwykle do łóżka, nie przeczuwając, że z brzaskiem dnia anioł śmierci namaluje ci na drzwiach czarny krzyż.

A zapewne gdybyśmy tak spotkali w okresie epidemii moru dwóch na czarno ubranych mężczyzn, wynoszących trupa, jeden z nas, powie — idą po Petersena. Oznajmi to takim samym tonem, jak gdyby chciał w tym wypadku rzec — jest bez pracy!

Jak dotąd, o dziwo, dom nasz był przed tym złem uchroniony.

Boże Narodzenie minęło, nastał styczeń, miesiąc optymizmu. Bo dla ubogich ludzi początek roku nie oznacza tylko cierpienia, zimna, — ale i napawa ich większą otuchą do życia. Chociażby dlatego, że dni są już coraz dłuższe. I teraz, kiedy każdy oddychał z ulgą, że najgorszy zimny okres ma już za sobą — akurat teraz rodzinę Vangów musiał spotkać taki cios!

Z mojego okna dobrze było widać ich mieszkanie. Tuż, obok stołu przy oknie stała maszyna do szycia; siadywała przy niej uśmiechnięta pani Vangowa na całe długie popołudnie, jak długo dochodziło tam tylko słońce. Ponad jej głową wisiała mała klatka, w której jak opętany — pośpiewywał kanarek, ledwie zaczęła szyć na maszynie; przy drugim końcu stołu siadywał, może trzy albo czteroletni chłopczyk przy swoich zabawkach. Jakże się może teraz powodzić tej małej rodzince, która dotychczas zdawała się być taka szczęśliwa?

U przeciętnych ludzi bieda rzadko kiedy pojawia się później, niż na drugi czy trzeci dzień po stracie pracy.

Jakże więc mogło im się powodzić?

Firanki były teraz stale zapuszczone; zdały mi się jakby przymrużone oczy. To, aby nikt nie dowiedział się co za nimi się kryje. Kiedyś tak zadowolona rodzina chciała żyć teraz tylko dla siebie.

Próbowałem się do nich jakoś zbliżyć, ale odprawili mnie. Widocznie pomyśleli sobie, że jeśli nie odwiedzałem ich w dobrych dla nich dniach to mogą się beze mnie obejść również teraz. Od czasu do czasu spotykałem pana albo panią Vangową z zawiniątkiem pod pachą — widocznie szli do lombardu. Nikt w domu nie wiedział, jak sobie dają radę, ale nie było trudno odgadnąć, że wyprzedają przedmioty domowego użytku.

Pewnego dnia zniknęły również firanki, zastąpiły je częściowo gazety i częściowo stara potargana chustka — a więc rzeczy, które raczej zdradzały, niż mogły zakryć ich biedę. Rozmyślałem wówczas i później o rodzinie Vangów znacznie więcej, niżby zapewne mógł sobie na to pozwolić człowiek, który nie chciał stracić duchowej równowagi; ich los spowodował, że zacząłem zwracać na byle co uwagę i byle czym się gorszyć.

Pewnego jednak dnia, przed południem wstąpiła we mnie pogoda. Na dole, na podwórzu, ozwał się znany, jasny głos, unosząc się chłodnym powietrzem wzwyż, niby radosne trele skowronka. Otworzyłem szybko na oścież okno. Po środku podwórza stał mechanik z gołą głową, z oczyma wpatrzonymi w najwyższe piętro domu. Śpiewał „Pożegnanie Tycha Braha", a jego głos drżał ze wzruszenia. We wszystkich oknach pojawili się słuchacze. Bili mu brawo i rzucali pieniądze, zawinięte w papierki. Dziesięcioletni chłopiec, jego pierworodny, biegał po asfalcie, zbierał je.

Kiedy, w chwilę potem wychodziłem z domu, przed bramą spotkałem Vanga ze swoim chłopcem: szli na sąsiednie podwórze. Kiedy mnie spostrzegł, zajaśniały mu radośnie oczy; pozdrowił mnie jak ktoś, kto spróbował uczynić skok w nieznane i dopisało mu przy tym szczęście.

MARTIN ANDERSEN NEXÖ

MARTIN Andersen Nexö, Duńczyk, jeden z najwybitniejszych postępowych pisarzy doby obecnej, gorliwy obrońca społecznie uciśnionych, autor znanych powieści, trylogii „Pelle zdobywca", „Dity" i szeregu innych, urodził się w 1869 roku w ubogiej rodzinie kamieniarza na przedmieściu Kopenhagi.

Ciężka była młodość Andersena Nexö. Ojciec jego, nałogowy alkoholik nie troszczył się zbytnio o swoich jedenaściorga dzieci. To też Andersen zarabiać musiał na chleb pracą własnych rąk; a był to nerwowy, niedożywiony, chorowity młodzieniec. Jak sam o sobie mówi, — do 40 roku życia ani jednego dnia nie czuł się zupełnie zdrów.

Andersen musiał jednak już od wczesnej młodości zarabiać na życie. Jeszcze przed konfirmacją poszedł na służbę jako sysslehorra, — (tak nazywają na Bornholmie, gdzie Nexö spędził młode lata, — doglądaczy bydła). Zarabiał wówczas 20 koron. W swoich doskonałych opowieściach „Idiota", i

— Tylko niech pan uważa, powiedziałem. Wie pan przecież, że śpiewanie po podwórzach jest zabronione.

— Owszem wiem. A czy może mi pan powiedzieć, co jest dozwolone w tym słotnym kraju? — odparł.

Przez dwa lata jeździłem, jako robotnik z jednym monterem, cudzoziemcem po wszystkich możliwych zakamarkach Europy; montowaliśmy maszyny. Wszędzie wolno było ludziom śpiewać po ulicach, tylko u nas patrzą na to krzywo. No, ale myślę, że ten mój występek nie jest tak wielki; na wszelki wypadek przy bramie czuwa mój chłopiec, który mnie ostrzeże, gdyby nadchodził policjant. Myślę, że w ten sposób jakoś to pójdzie.

I rzeczywiście wydawało mi się, że to naprawdę pójdzie! Szczerze się radowałem, widząc jak Vang

Ochotnik—ochotniczka

(dodatkowa sprawność)

Przyjaciel wiosny:

1. Brał(a) udział w wiosennych pracach w domu lub w ogródku (wie rzenie ubrań zabezpieczenia przed molami, przesadzanie roślin doniczkowych, odkrywanie krzewów, zakładanie skrzynek na kwiaty, grządek itp.).

2. Obserwował(a) nadchodzącą wiosnę:

Wie, kiedy przyleciały pierwsze ptaki, kiedy zakwitają pierwsze kwiaty.

Zna najpospolitsze wiosenne rośliny swojej okolicy, nie kupuje roślin chronionych (przebiśniegi, widłak, storczyki, lilia złotogłów, pełnik).

Zwiedził(a) wylęgarnię kurcząt. Widział(a) jak się szczepi lub oczkuje drzewa (wie po co się to robi).

3. Prowadził(a) wraz z zastępem walkę ze śmieciami w okolicy domu lub szkoły.

4. Pomagał(a) w wiosennych pracach w ogrodzie lub na boiskach czy zieleńcach (skopał grządkę, grabił liście, zwalczał szkodniki).

Widział(a) hodowlę wczesnych jarzyn (sałata, rzodkiewka) wie dlaczego są one pożyteczne dla człowieka.

Dba o potrzebne mu w pracy narzędzie — dokonał(a) prostych reperacji.

5. Zrobił(a) prosty przedmiot użyteczny wiosną (skrzynkę na kwiaty, domek dla ptaków, wycieraczkę, kosz na śmieci).

6. Był(a) na wiosennej wycieczce na łące lub w lesie, opowie co na niej widział(a) (budowanie gniazd, budzenie się mrowiska, zapylenie kwiatów, obserwacje rozwoju żab, pierwsze rośliny).

Nakładem „Harcerskiego Biura Wydawniczego" ukazała się bardzo pożyteczna seria wydawnictw **Harcerskiej Służby Polsce.**

W książeczce **„Oświata i kultura"** omawiane są następujące sprawności:

— Przyjaciel szkoły,

— Krzewiciel kultury,

— Radiofonizator wsi.

We wstępie czytamy:

„Zebrani przedstawiciele wojska, Związków Zawodowych, Samopomocy Chłopskiej, Ligi Kobiet, starszych organizacji młodzieżowych i ZHP mieli okazję przedstawić, jakich książek potrzebują ich organizacje dla swoich bibliotek.

„Projektujemy na początek wydanie 200 świetlicowych książek w cenie 100 zł" — zagaił przewodniczący.

„Chcielibyśmy wiedzieć czy to mają być powieści, czy książki naukowe. Z jakiej dziedziny? Na jakie tematy? Ustalić to powinna nasza dzisiejsza narada".

Te słowa ilustrują zmiany w naszym kraju. Dawniej książka nie była dostępna dla wszystkich. Kosztowała za wysoką cenę. To samo kino, teatry. Teraz inaczej.

— K.U.K. — książki po 100 zł.

Chodzi o to, by kultura i oświata były dla wszystkich.

JAN TROJANOWSKI

KSIĄŻKA tygodnia

W omawianej książce czytamy dalej:

„Jak przewiduje plan 3-letni, w 1949 r. wszystkie dzieci szkolne znajdą się w dobrze zorganizowanych i urządzonych szkołach podstawowych. Ilość studentów wyższych uczelni jest już dziś większa niż przed wojną i rosnąć będzie stale w miarę odbudowy pracowni i zakładów naukowych".

A więc znowu inaczej. Lepiej. Szkoły dla wszystkich.

W drugiej części broszury omówione są sprawności. A więc naprzykład przy sprawności „przyjaciela szkoły" omówiona jest organizacja pracy: przypilnowanie czystości na korytarzach, zajęcie się biblioteką, inwentarzem szkoły itd.

Do książeczki załączone są wykresy, jak np. szkice, pozwalające na zorientowanie się jak zrobić linijkę, kątomierz, tarczę do zegara, liczydełko itp.

Książka będzie nieodłącznym towarzyszem każdego harcerza w wykonywaniu HSP.

Następne wydawnictwa „Harcerska Służba Polsce" jak: „Las i rola", „Zdrowie", „Dziecko" i inne są równie starannie opracowane. Do ich omówienia powrócimy.

LITOŚCIWY

— Janku daj dla biednego parę groszy.

— A gdzie on jest.

— Stoi na ulicy i sprzedaje cukierki.

Książki nadesłane

PAŃSTWOWE ZAKŁADY WYDAWNICTW SZKOLNYCH

Z cyklu:

„Biblioteka Ziem Odzyskanych"

„Bitwa pod Legnicą". — Krystyna Pieracka, stron 64 z wykazem literatury, cena 85 zł. W broszurze plany i ilustracje.

„Wielkie czyny Bolesława Krzywoustego". — Gall Anonim, przekład Elżbiety Sadzewicz, ze wstępem Stanisława Helszczyńskiego o Gallu Anonimie i jego dziele, z wykazem literatury, stron 56, cena 75 zł. W broszurze portret Krzywoustego w/g obrazu Matejki.

„Książę Henryk Brodaty". — Janina Królińska, str. 44, z wykazem literatury z dokumentami, cena 65 zł. W broszurze szereg plansz i ilustracji (ta broszura zainteresuje nieco starszych czytelników).

„Bronisław Koraszewski, wydawca Gazety Opolskiej 1864 — 1922". — Mieczysław Toblarz, z ilustracjami, przypisami i wykazem literatury, stron 79, cena 95 zł.

*

„Łamanki z papieru". — Wacława Świerczyńskiego z rysunkami autora — niezastąpiona książeczka dla drużyn zuchowych i do bibliotek zastępów. Postaramy się w „Świecie Młodych" powrócić jeszcze do tego wydawnictwa. Stron 96, cena 155 zł.

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Nadesłał:

„Ocean" (Pow. hist.). — Wacława Sieroszewskiego — 2 tomy (250 + 248 str.).

(nakł. Wielkop. Ksieg. Wyd.)

„Wykład filozofii". — G. Politzera — doskonały, przystępny wykład zasad światopoglądu naukowego.

Zeszyt pierwszy miesięcznika **„Teatr".** (Str. 249).

„Miasta i mieszczaństwo w dawnej Polsce". — Jan Ptaśnik — str. 341 z przyp. ind. nazw.

Książki Państwowego Instytutu Wydawniczego zainteresują zapewne uczni klas licealnych, a ich estetyczna szata zewnętrzna przyczyni się do upiększenia bibliotek licealnych i nauczycielskich.

Kolegów instruktorów harcerskich szczególnie zainteresuje wymieniony „Wykład Filozofii".

tłum. Zbigniew Rogowski

śpiewak

i jego żona znowu dźwigają się z biedy i nabierają starego wyrazu zadowolenia na twarzy. Obrzydliwe zasłony w oknie ustąpiły znowu miejsca firankom. Niemal za każdym razem spotykałem kogoś z jego rodziny z zawiniątkiem pod pachą — widocznie szli z lombardu. Była to podwójnie pocieszająca wiadomość, że ludziom tym udało się zmierzyć z ciężkimi kolejami losu i zawinąć do spokojnego portu. Vang był

„Nagrobek", opisuje Nexö ten trudny okres, w swoim życiu który jednak nie był dla niego bez uroku.

Później Nexö wstąpił na praktykę do szewca w Rönne, stolicy Bornholmu. W ciągu swojej sześcioletniej pracy w warsztacie szewskim, a po tym jako murarz, Nexö wykorzystywał wszystkie wolne chwile na naukę. Swoje wykształcenie uzupełnił później na wyższej Bornholmskiej uczelni ludowej. Pewien bornholmski szklarz, z pochodzenia Niemiec, zapoznał go z zasadami socjalizmu, który wyrył piętno nie tylko na życiu Andersena, ale również na jego twórczości literackiej.

Nexö jako pisarz używa nadzwyczaj prostego języka, posiada dar żywej charakteryzacji. Jego opisy są precyzyjne, mocne i pozbawione zbytecznego patosu. W prostej fabule wyczuwa się bogate doświadczenie autora, jego miłość do człowieka i głębokie zrozumienie ludzkich słabości, boleści i cierpienia. Są to cechy rzadko spotykane u współczesnych pisarzy. Świadczą one o wielkości Martina Andersena Nexö, którego dzieła tłumaczone są na wszystkie niemal języki świata.

Nexö to nie tylko wybitny pisarz, ale bojownik o postęp i pokój na świecie.

Jego ożywiona działalność na rzecz pokoju, zyskała mu uznanie wszystkich miłujących pokój narodów. My Polacy pamiętamy go z zeszłorocznego Kongresu Intelektualistów we Wrocławiu.

na wszystkich podwórzach mile witanym gościem; otrzymał nawet przydomek: Herold ubogich!

Spotykałem go często w naszej dzielnicy i staliśmy się szybko dobrymi przyjaciółmi.

Pewnego dnia zawitał w moim mieszkaniu, prosząc o radę w ważnej sprawie. W ostatnich latach jaśniała na firmamencie artystycznym nowa gwiazda: były włoski dorożkarz. Jeden z profesorów mediolańskiego konserwatorium zupełnie przypadkowo odkrył w nim świetnego tenora i wykształcił go. Teraz jeździł on od miasta do miasta, cały świat leżał u jego stóp. Sława jego przeniknęła także do nas, i jakiś czas wierzono nawet, że będzie również koncertować w Kopenhadze. Potraktacje te, rozbiły się jednak o zbyt wysokie honorarium, które tenor zażądał.

Vang śledził w gazetach wszystkie triumfy śpiewaka. Odnosiłem wrażenie, że sam siebie przyrównuje do byłego włoskiego dorożkarza, i wydąga z tego pewne wnioski. Że posiadał głos nie było wątpliwości. Nie byłem w stanie jednak należycie ocenić czy głos ten jest taki, że można na nim budować przyszłość rodziny. A ponieważ nie życzyłem sobie, aby Vang dla tak niepewnej rzeczy wyrywał siebie i swoją rodzinę ze szczęśliwego, — jakkolwiek skromnego ogniska domowego, za każdym razem kiedy wydawało im się, że rozmowa mogła się potoczyć na temat jego artystycznych marzeń — zaczynałem szybko mówić o czymś innym.

Dzisiaj przystąpił jednak od razu, do rzeczy. Włoski tenor miał tym razem z całą pewnością przyjechać, i to już w niedalekiej przyszłości. Otóż jak donosiły gazety jednemu z największych właścicieli ziemskich w Danii udało się pozyskać sławnego śpiewaka, który miał śpiewać w jego luksusowym pałacu kopenhaskim przed zamkniętym i wybranym towarzystwem, naturalnie za bajeczne honorarium.

— Jak pan myśli? Czy powinienem odszukać Włocha i poprosić go o wypróbowanie mojego głosu? — spytał Vang z twarzą podnieconą już teraz z oczekiwania.

— Dlaczego akurat jego? Czyż nie mamy na to dosyć powołanych artystów? — odpowiedziałem.

Vang wydął pogardliwie usta.

— Nasi ludzie nie potrafią nigdy ocenić talentu u tego, który wyszedł z dołów — rzekł. Ten Włoch wszakże pochodzi również z biedoty. Dlatego myślę sobie, że gdyby on —, Vang zamilkł, a z wyrazu jego twarzy wyczytałem, że myślami jest już znowu przy swoich fantastycznych marzeniach.

— Kształcenie jest przecież zbyt kosztowne — rzuciłem ostrożnie. Trwa lata — a rodzina musi z czegoś żyć.

— Owszem ma pan rację, ale śpiewaniem po podwórzach zarabiam sobie zupełnie przyzwoite pieniądze.

— Miał pan dotychczas szczęście zaznaczyłem — to jest policyjnie zabronione i może się zdarzyć, że dziś albo jutro... —

— Jak dotąd szło to jednak dobrze. Nie sądzę, żebym się miał obawiać policji — odparł Vang. Policjanci z naszej dzielnicy widzieli mnie już kilkakrotnie. A właściwie dlaczego mieliby się wtrącać do mojego śpiewania? Włoch będzie śpiewać hrabiemu i jego gościom we wspaniałym pałacu — możliwe, że się stawi także dwór królewski, aby go posłuchać. Dostanie za to 10 tysięcy koron, na pewno mu ich nie rzucą zawiniętych w kawałku gazetowego papieru — i będzie śpiewać w pięknej sali. Pomimo tego nie widzę między nami dwoma wielkiej różnicy — biedacy nie mają innej sali koncertowej jak małe podwórko. Ptakom nie zakazuje się aby śpiewały w Kopenhadze ludziom, — a oni za to sypią im okruszyny. Każdy mnie przecież chętnie słucha, kiedy śpiewam.

Nie dał się od swego zamiaru odwieść i musiałem obiecać, że dopomogę mu w napisaniu do artysty listu kiedy nadejdzie ku temu odpowiednia chwila.

Spędziliśmy nad tym całą niedzielę; Vang chciał w liście wciąż coś zmienić.

— List musi na nim wywrzeć jak najlepsze wrażenie — taki jak on to dostaje zapewne moc listów — powiedział tonem w którym nie ukrywał jak bardzo z Włocha jest dumny. List odesłaliśmy tak, aby go śpiewak otrzymał zaraz po swoim, przyjeździe; o ile wiem odnowiedź nigdy nie nadeszła. Sławny śpiewak zaważył jednak mimo to — choć nie bezpośrednio — na losie Vanga —, tylko że, w smutnym tego słowa z[illegible]u. Nadszedł [illegible] ker[illegible]u. Dwaj policjanci, którzy mieli wieczorem pełnić przed pałacem służbę — dbać o niezakłócenie przyjazdu gości itp. — dostali już w południe wolne, aby móc trochę odpocząć i przebrać się na wieczór w paradne mundury. Obaj mieszkali za miastem i przez drogę zabawiali się rozmową o sławnym śpiewaku, który miał tego wieczoru wystąpić.

— Chętnie bym go także posłuchał — powiedział jeden z nich. Ale to nie dla nas, śmiertelników.

Kto wie, może był temu winien włoski śpiewak, a może obaj policjanci chcieli owego dnia pilniej, niż zwykle pełnić swoje obowiązki, dość na tym, że postanowili przejść po południu miastem, by przepędzić trochę żebraków. Przywdziali więc, cywilne ubrania, aby nie wzbudzać niczyjej uwagi i wybrali sobie dzielnicę Nörrebro. Tam rozstali się, i każdy szedł jedną stroną ulicy.

Vang śpiewał właśnie na podwórku w pobliżu owej ulicy; jego chłopiec stał przed bramą na straży. Naraz po środku pieśni podszedł ku niemu człowiek w wytartym już znacznie cywilnym ubraniu, i złapał go mocno za kołnierz. Vang wyrwał mu się, ale w tym, w drugiej ręce mężczyzny błysnęła policyjna odznaka. Vang widział przecież dobrze tego człowieka, jak przed chwilą szperał w koszu z odpadkami, aby w ten sposób nie wzbudzić od razu uwagi i podejrzenia, — tak, że słusznie miał go za jednego z biedaków, którzy w odpadkach szukają swojej egzystencji. Dlatego ogarnęła go w najwyższym stopniu wściekłość. Jakaż to była podłość przebrać się [illegible] tylko, aby móc lepiej śledzić i paraliżować [illegible] bliźnich! W przystępie ślepej wściekłości [illegible] policjanta na ziemię, i przynosząc sobie ulgę [illegible] kleństwami pobiegł równocześnie ku bramie po [illegible]ca, aby razem z nim uciec. Nie, takiego bandyckiego postępowania nie oczekiwał.

W zdenerwowaniu nie dosłyszał ostrego tonu policyjnego gwizdka, i przed bramą o mały włos nie wpadł drugiemu policjantowi prosto w objęcia. Odwróciwszy się więc szybko, biegł spowrotem na podwórze. Tam wpadł na pierwszego policjanta, który właśnie podnosił się z ziemi i tropiony przez obu przeskoczył przez płot. Mając ich na piętach dobiegł do wąskiego zaułka między domami, a że nie było stamtąd dokąd uciec, po krótkim uporczywym szamotaniu złapali go.

My, w domu dowiedzieliśmy się o tym dopiero wieczorem — wcześniej chłopiec nie odważył się powrócić do domu — i od razu zdawaliśmy sobie sprawę, czym to pachnie. Bardziej niezrozumienie nie mógł już Vang postąpić — on jeden z największych poczciwców i złotych ludzi na świecie pozwolił sobie podnieść rękę na policjantów! Każdy z nas zdawał sobie w zupełności sprawę, że nie byłby tego nigdy uczynił, gdyby mieli na sobie mundury; działał tylko w zdenerwowaniu, które go ogarnęło, nie znosił bowiem podstępu i chytrości. Ale na co to wszystko się przydało? Podniósł rękę na osobę urzędową i nawet najlepsza opinia o nim nie mogła go uratować.

Tego wieczoru obaj policjanci nie stanęli jednak w paradnych uniformach do służby przed wejściem do pałacu; podczas bijatyki potężne pięści Vanga — przywykłe do walenia młotem w kowadło — tak ich urządziły, że nie mieli odwagi pokazać się publicznie — wszystko to zostało doliczone Vangowi do rachunku.

Dostał za to rok więzienia.

Czystość jego duszy nie ucierpiała na tym.

Stracił jednak swój głos.

— Winne są temu wilgotne mury więzienne — oświadczył sam.

Możliwe — ale możliwe też, że przyczyna tkwiła jeszcze głębiej.

TYLKO DLA DZIEWCZĄT

Wielkimi krokami zbliża się pora robienia wiosennych porządków. Napewno będziecie pomagać w domu. Trzepać, pościel, myć okna, ścierać kurze. Same dobrze wiecie jak przy takim sprzątaniu niszczy się ubranie. Że przy myciu okien, zawsze, choćby się nie wiem jak uważało, zachlapie się sukienkę, a przy trzepaniu pościeli, na ubraniu osiada [illegible]

Ale na wszystko jest rada. Żeby nie niszczyć sukienki trzeba poprostu założyć na nią fartuch.

Dzisiaj dowiecie się jak taki fartuch uszyć.

Otóż na tablicy narysowane są w zmniejszeniu poszczególne części wykrojów oznaczone literami. Chcąc otrzymać wykrój - formę z papieru, według której kroić będziemy materiał, musimy przerysować poszczególne części na bibułce odpowiednio je powiększając. I tak, jeśli np. przy wykroju kieszonki podana jest miara 13 cm. to, mimo że rysunek jest daleko mniejszy, wycinamy 13 cm. kieszonkę o kształtach identycznych z rysunkiem.

Przerysowując musimy pamiętać, że na tablicy podana jest połowa każdego wykroju. Dlatego papier na którym rysujemy musi być złożony podwójnie. Linia wzdłuż której wykrój jest złożony zaznaczona jest na rysunku przerywanymi kreskami.

Po wycięciu, porównujemy gotową formę z własnymi wymiarami. Jeżeli wykrój jest za mały — powiększamy go odpowiednio, jeżeli za duży — zmniejszamy.

No, a teraz pozostaje tylko przyłożyć wykrój do materiału i wziąć nożyczki w garść. A nie zapomnijcie zostawić ze wszystkich stron około 1 cm. na szwy.

Teraz, kiedy już mamy skrojony materiał przystępujemy do szycia.

Rys. A — pokazuje jak powinien wyglądać środek przodu (dół). Do tego środka dorysujemy boki rys. B i na górę przodu rys. C. Rys. D to „ramiączko", które będzie przytrzymywało nasz fartuch wokół szyi. Przyszywamy go oczywiście do brzegów górnej części przodu. Kieszonkę, rys. E, umieszczamy po lewej stronie, lub na środku przodu na wysokości bioder. Wreszcie troczek rys. F — przyszywamy w pasie z obydwóch stron, tak aby fartuch można było wiązać z tyłu.

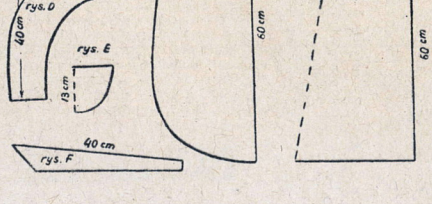

Jak zrobić spadochron?

Kartkę papieru o wymiarach 200 × 200 mm. składamy według rysunku pierwszego.

Do zagiętych rogów kartki przyczepiamy cztery nitki o długości około 200 mm. każda. Dolne końce nitek związujemy razem i do nich przywiązujemy ciężarek. Za ciężarek posłuży nam najlepiej plomba ołowiana.

SPADOCHRON II „STRZAŁA"

Obręczkę robimy z ołowiu. Obręczka powinna być nawieczona na strzałę tak, aby mogła się po niej posuwać przy naciąganiu cięciwy.

Nitki w otworze czaszy (parasola) przywiązujemy do ostrza strzały, dalej przechodzą przykiejone, lub wszyte w materiał na szwie przy końcach czaszy (parasola).

Czaszę (parasol) sklejamy z 12 pasów bibuły wyciętych według szablonu (patrz rys.), lub zszywamy z materiału: lekkiego płótna, jedwabiu, cienkiej bawełny. Linki z nitek lub szpagatu: 12 sztuk o długości 440 mm.

Strzała z listewki okrągłej o średnicy 10 mm, długość jej wynosi 550 mm.

Dolne ich końce przyczepiamy do obręczki. Strzałę tę wypuszczamy z normalnego łuku pionowo w górę, gdzie po osiągnięciu maksymalnej wysokości rozwija się spadochron.

JANUSZ MEISSNER

Skrzydła nad Arktyką

ILUSTR. H. CHMIELEWSKI

Kilkakrotnie trzeba było rozsadzać dynamitem atakujące wały lodowe, aby ratować go od zmiażdżenia.

Gdy oswobodzony przedzierał się przez kry i wracał na właściwy kurs, zrywała się wichura i śnieżyca tak gęsta, że ludzie nie widzieli się wzajemnie przez szerokość pokładu. Lód trzeszczał, piętrzył się, walił w boki statku i znów spychał go ku brzegom, na południe. Tam zaś lód przylądowy chwytał go w potężne szczęki nowych barier i zatrzymywał na kilka godzin, nieraz na dzień lub dwa, póki rozkołysane fale nie rozkruszyły spojonej mrozem kry.

W połowie października, Plichta po raz pierwszy zobaczył zorzę polarną. Zjawisko zaczęło się nieregularnymi wytryskami błękitno - zielonych promieni na ciemnym niebie, po czym wysoko nad horyzontem rozwinęła się falista purpurowa wstęga, zajmująca niemal pół nieboskłonu. Drgała i świeciła raz mocniej, raz słabiej, mieniąc się tęczowo, fałdzistą, jak najdelikatniejsza falbana jedwabna, którą porusza powiew wiatru. Znikła dopiero po upływie godziny, gdy nadciągnęły chmury i zaczął padać śnieg.

Tymczasem w tym czasie płynął zwolna ku wschodowi, wśród pól lodowych, które znów go uwięziły i uniosły z prądem daleko od brzegów.

Śnieg padał coraz większy, pokrywając pokład grubą warstwą, aż wreszcie statek stał się podobny do ogromnej bryły lodu, takiej samej, jak te, które go zewsząd otaczały. Tylko maszty sterczące wysoko, rozpięta na nich antena i czarne dymiące kominy odcinały się wyraźnie na jednostajnym, białym tle.

Dzień, mało różniący się teraz od nocy, wlókł się ospale wśród zwykłej krzątaniny dyżurnej wachty. W południe, gdy na krótko rozjaśniło się w południowej stronie nieba, śnieżyca ustała. Zamiatano pokłady i oczyszczano luki oblepione śniegiem i lodem.

Burnagiel stał na mostku z sekstansem w ręku, czekając na błysk słońca między chmurami, w nadziei, że uda mu się zliczyć pozycję. Jakoż na chwilę skośny promień przedostał się poprzez obłoki i zapalił ostre blaski na lodowych złomach.

W tej chwili nadszedł kapitan i stanął za drugim oficerem. Patrzył mu przez ramię gdy tamten notował, po czym bezceremonialnie wskazał mu krótkim grubym paluchem właściwą kartkę na tabeli.

— Tu — powiedział.

— Tak jest, panie kapitanie. Znosi nas na północ.

— Na północny - zachód poprawił Pilewicz. — Od godziny. Może od dwóch godzin.

— Spróbujmy jeszcze raz rozsadzić lód, panie kapitanie — zaczął Burnagiel, ale umilkł. Komendant spojrzał na niego spode łba i zawarczał niezrozumiale:

— ...pięć metrów, do cholery... Idźtyzmy!

— Plichta! — ryknął nagle.

Adam stał tuż obok i aż odskoczył. Wydało mu się to tak zabawne, że uśmiechnął się mimo woli.

— Czego pan szczerzy zęby? — zapytał ostro Pilewicz.

Plichta poczuł się tym razem dotknięty.

— Takie już mam usposobienie — powiedział bez namysłu. — Wolę się śmiać, niż złościć.

Burnagiel struchlał: nikt nigdy w ten sposób nie odpowiadał kapitanowi na pokładzie Junaka. Ale Pilewicz milczał. Przyglądał się tylko Adamowi, który nie spuszczał wzroku.

Ruszył wąsami, chrząknął, podrapał się za uchem.

— Hę? — powiedział wreszcie. — Wolisz pan? No to dobrze.

I nagle zarżał krótkim chrypliwym śmiechem, co wprawiło drugiego oficera w całkowite osłupienie.

— Powiedz mi pan — zaczął kapitan, mrużąc oczy i przygryzając wąsy — powiedz mi pan, — powtórzył, ogarniając szerokim gestem lodowe pola — czy można by stąd wystartować?

— Można, ale po przygotowaniu drogi do startu — odrzekł Plichta. — Zdejmę pływaki, założę płozy i...

— Ile panu trzeba tej drogi?

— Sto metrów. Szerokości...

— Ze dwadzieścia?

— Nawet mniej: wystarczy dziesięć

no dla bezpieczeństwa — piętnaście. Było było równo.

— Daj mu pan ludzi i zróbcie tę drogę. Muszę wiedzieć, ile mamy lodu dokoła.

Pilewicz odwrócił się do Burnagla.

Popatrzył raz jeszcze na wszystkie strony, spojrzał spode łba na Plichtę, skrzywił się w uśmiechu, pokręcił głową i odszedł do siebie.

— Stary bardzo cię lubi — powiedział Burnagiel po jego odejściu. — Niepotrzebnie się tak postawił. On i mnie specjalnie lubi, choć ciągle na mnie warczy.

— I ja go dosyć lubię — odrzekł Plichta — chociaż objawy sympatii z jego strony bywają czasem dziwne. Gdybym kładł uszy po sobie tak jak ty, ciosałby mi na głowie kołki. Nie lubię tego. Za co na przykład zburczał cię, jak powiedziałeś, że spróbujemy jeszcze raz rozsadzić lód?

Burnagiel zaczerwienił się.

— On ma dziesięć razy tyle doświadczenia, ile wszyscy oficerowie razem wzięci — powiedział zmieszany. — Właściwie palnąłem głupstwo. Lód dokoła statku ma kilka metrów grubości. Na to, aby go rozsadzić, zużylibyśmy mnóstwo dynamitu. Trzeba najpierw zobaczyć w jakim kierunku najłatwiej się wyrąbać, a przecież nie wiemy nawet, jak wielkie jest pole lodowe, które nas otacza. Ty musisz to zbadać.

— Rozumiem — mruknął Adam. — Zrobi się. Ale w takim razie nie ma na co czekać: dawaj ludzi i bierzmy się do roboty.

Nie było to łatwe zadanie, ale w okolicznościach jakie niebawem nastąpiły, stało się trudniejsze niż można było przypuszczać owego dnia, w którym Plichta objął komendę nad piętnastu marynarzami uzbrojonymi w łopaty i kilofy.

...kilkakrotnie rozsadzać trzeba było dynamitem wały lodowe

Ani on sam, ani żaden z oficerów Junaka, ani kapitan Pilewicz wreszcie nie przypuszczali, że dalszy rozwój wypadków będzie miał przebieg tak szybki i taki groźny. Że nad życiem załogi zawiśnie groźba śmierci wśród lodów Arktyki i to wówczas, gdy znaleźli się niemal u końca północnej części podróży, o sześćset mil zaledwie od wejścia do cieśniny Beringa.

Powierzchnia pola lodowego, które utworzyło się w ciągu ostatnich paru dni dokoła Junaka II, przedstawiała teren nierówny, poprzecinany we wszystkich kierunkach zwałami wielkich, wysoko piętrzonych bloków kry, przeorany głębokimi jarami i rozpadlinami, pełen naturalnych zasadzek, niespodzianek. Grube warstwy lodu, które powpełzały na siebie pod wpływem ogromnego ciśnienia zmiennych, ścierających się ze sobą prądów, uformowały całe łańcuchy wzgórz. Tłoczące się na siebie, wypierane od spodu i ściskane z boków płyty urastały w wysokie bariery, które zaklinował mróz. Zawiane śniegiem wądoły, zdradzieckie nawisy nad ostrymi zrębami szczelin, zaspy stwardniałe na gips, ubite wichrem, rozmokłe w czasie odwilży i stężałe znów na mrozie — wszystko to zgromadzone chaotycznie, w najbardziej bezsensownym nieładzie, stanęło naprzeciw ludzkich wysiłków.

Wśród tego dzikiego labiryntu, w poprzek fantastycznych schodów, głębokich, wąwozów, pięter i korytarzy, pod załamami niemal pionowych ścian, w krętych łożyskach wodospadów, między zapadliskami zasp — Plichta wyznaczył z południowo - zachodu na północny wschód stumetrową trasę rynny startowej.

Zaczęli ją budować w pobliżu statku, niemal na poziomie pokładu, rwąc dynamitem co grubsze bloki, po których ślizgały się ostrza kilofów i zasypując lodowym gruzem rozpadliny. Posuwali się naprzód wolno, żłobiąc przed sobą drogę szeroką na piętnaście metrów i przykrywając ją równo ubitym śniegiem. Po obu jej stronach trzeba było jeszcze gdzieniegdzie wyrównać i zniwelować wyższe wzniesienia, aby samolot nie zawadził o nie skrzydłami.

Plichta, zadowolony że wreszcie ma co robić, walił oskardem w lód tuż obok starego Prochala.

Prochal, odgarniając znad oczu ogromne zwisające brwi i drapiąc się w siwą twardą szczecinę, która mu okalała wygoloną brodę i policzki, spoglądał na Plichtę spod oka, sapiąc jak maszyna parowa. Jego imponująco wysoka, rozrosła w barach postać wydawała się jeszcze wyższa i okazalsza obok drobnej sylwetki Adama. Zginał się i prostował rytmicznie, miarkując siłę ciosów, aby mu jej starczyło zawsze na jednakowo długi okres czasu między jednym o drugim odpoczynkiem.

Dalej zwijał się Grzywacz, chudy, ze sterczącymi łokciami i ciągle wiercącą się na wszystkie strony nieforemną głową o wydłużonej ku tyłowi czaszce.

Obok niego pracował starszy z dwóch Juszczyków, milcząc lub odpowiadając przeczącо na jakieś szeptem czynione mu przez Grzywacza propozycje w sprawie zamiany, czy też sprzedaży spodni, których Juszczyk miał aż trzy pary.

Najdalej na prawo od Plichty rąbał lód bosman Konkol. Ten był krępy, jak niedźwiedź, ale też rozporządzał niedźwiedzią siłą. Stał rozkraczony szeroko na krótkich, połąkowatych nogach, dwakroć szerszy w ramionach niż w pasie, i rozbijał przed sobą lodowe bloki z zaciekłością ukazując raz po raz równe, duże i żółte zęby spomiędzy sinawych warg. Twarz jego, mięsista i czerwona, z nalotem rudawego zarostu, nabiegała krwią. Mogło się zdawać, że naciągnięta skóra na policzkach pęknie lada chwila i że krew tryśnie na śnieg. Bosman nie odpoczywał i nie mówił nic do nikogo. Od czasu do czasu klął tylko półgłosem, zmiatając sprzed siebie jednym zamachem ramion wielkie bloki, których zapewne nie podźwignęłoby dwóch normalnie silnych ludzi.

Tych pięciu stanowiło środkową grupę. Przed nimi postępował sam Burnagiel z brygadą obsługującą pneumatyczne świdry i z Zarądą, który zakładał i detonował ładunki dynamitu w potężniejszych blokach lodowych. Z tyłu pracowała jeszcze jedna brygada pod kierunkiem mechanika Bartkowiaka, równająca i ubijająca drogę.

Robota szła składnie i szybko, póki nie zaczął padać śnieg. Przyleciał z północy, ukryty w ciemnych kłębach niskich chmur, pędzonych wiatrem. Zaczął sypać od razu gęsto, niemal poziomo, zasnuwając białą przędzą przestrzeń dokoła. Wicher, ten wielki, zimny, zły wicher który rodzi się gdzieś chyba na samym biegunie, dopędził go nieco później i w jednej chwili zwinął, potargał, przegnał precz swego poprzednika, który tkał ze śniegu wielki obrus.

Przerażone prządki-chmury, stratowane brutalnie, sponiewierane gwałtownie i zbite w gęstą gromadę, upuściły białą przędzę. Wicher porwał ją, zagarnął stumilowym skrzydłem i zaczął nieść przed sobą.

Olbrzymi tuman parł naprzód po lodach, kłębił się, toczył, zwijał i rozwijał. Huragan ciskał nim w prawo i w lewo, darł się przez zręby lodowych skał, zasypywał wąwozy, nawiewał nowe fałdy, wydmuchiwał do gołoledzi stare zaspy.

Potężniał z każdą chwilą i porywał już z sobą co mniejsze odłamki kry, gnając je z suchym łoskotem i wyjąc coraz wyższym, rozpaczliwie smutnym, a jednocześnie pełnym grozy tonem.

Nisko, jak okiem sięgnąć, kurzył się pył śnieżny, gęsty, drobny i suchy. Wyżej leciały watahy śnieżycy, wytrząsanej z ciemnych, oranych w nierówne skiby chmur. Raz po raz wielki, skłębiony obłok wirujących białych ptaków przestaniał wszystko, aby nagle w jakiejś krótkiej przerwie między dwiema szarzami chmury zwalić się na dół i zagrzebać pod sobą lodowe ruiny.

Ludzie przeczekali od razu, lecz usiłowali pracować dalej. Mocowali się z wichurą, odwróceni do niej plecami lub bokiem. Poszczególne grupy czyniły wrażenie zbiegowiska widm, przygnanych tu niesamowitą burzą.

Ale gdy przyleciał Wielki Wicher, musieli ustąpić: nie sposób było utrzymać się na nogach pod mroźnym oddechem północnego bieguna.

Pierwszego Grzywacza zwaliło na lód i potoczyło aż do grupy Bartkowiaka. Wstał pokaleczony ostrym szkliwem i usiłował dobrnąć na swoje miejsce, aby odszukać kilof, który upuścił. Ale w połowie drogi wpadł na niego Juszczyk, ślizgając się po pochyłości zbocza rynny i obaj znów zostali zwaleni z nóg gwałtownym uderzeniem wichru.

Potem śnieżyca zgęstniała do tego stopnia, że ludzie przestali widzieć się nawzajem. Z Junaka odezwało się wycie syreny, ledwie dosłyszalne wśród wycia i zawodzenia wichury. Jednocześnie zabłysły światła reflektorów.

Wracali po dwóch i po trzech, pomagając sobie wzajemnie i nawołując się w ciemności. Wdrapywali się na pokład po trapie zasypanym już zupełnie i tupali głośno, pytając kucharza czy ma dla nich gorącą kawę. Niektórzy dygotali z zimna, szczękając zębami. Wszyscy gadali głośno, potrącali się i toczyli u wejścia do kambuza.

Ludzie rozeszli się po statku: oficerowie i Plichta do swoich kajut, cieśla, bosman i Przywara do przedziału podoficerskiego, marynarze do kubryku. Na pokładzie została dyżurna wachta ze starszym oficerem.

Szczepanik kazał odmieść śnieg i obciągnąć wanty, które poluzował wicher. Z niepokojem spoglądał raz po raz na gwałtownie opadający barometr: z północno-wschodu na skrzydłach wichury leciała ciemność i groza. Gdyby nie to, że Junak stał wklinowany na mur w środek ogromnej wyspy lodowej, płynącej gdzieś w niewiadomym kierunku po niewidzialnym oceanie, fale wchodziłyby z pewnością na pokład. Pytanie, czy lód wytrzyma ich odległe działanie, czy i kiedy rozpadnie się na krę — niepokoiło pierwszego oficera bardziej, niż chciał to po sobie okazać.

Czuł, że brak mu tego doświadczenia, jakie posiadał kapitan Pilewicz. Wiedział, że w tych warunkach nie jest odpowiednim człowiekiem na stanowisku, które zajmuje. Nawet taki smyk, Burnagiel, więcej wiedział o Arktyce niż on.

Nie czuł się winnym awarii Junaka na morzu Karskim, tym bardziej, że kapitan całą tę sprawę pominął milczeniem, ale był coraz mniej pewien siebie wśród łądzących prądów, nie oznaczonych nabieżnikami red, wysp, o których zaledwie wspominała locja i lodów, których grubości nie potrafiłby określić.

Nieuporządkowany, dziki Ocean Północny budził w nim niepewność i lęk. Nie można było o nim prawie nic wnioskować z map i z owej wszechwiedzącej locji, którą dotychczas posiłkował się tak pewnie i łatwo.

C.D.NASTĄPI

Z dniem dzisiejszym wprowadzamy do naszego pisma nowy stały dział, dział szachowy.

Niewątpliwie każdy z Was zetknął się już z tą grą, najpiękniejszą chyba, jaką dotychczas umysł ludzki wynalazł. Każdy coś o niej słyszał, albo przy najmniej widział grających i w głębi duszy... dziwił się, jak można nad kilkunastoma figurkami, stojącymi na szachownicy przesiadywać bez ruchu długie godziny, czasem tylko, „po głębokim" namyśle robiąc małe, „nic nie znaczące" posunięcie. A jednak szachy — walka umysłów — przetrwały w prawie niezmienionej, klasycznej formie kilka tysięcy lat i wątpić należy, czy popularność ich kiedykolwiek się zmniejszy. Przeciwnie! Szachy stają się dziś grą, ogarniającą coraz szersze masy, bez względu na wykształcenie, zawód i wiek.

Słyszeliście pewno wszyscy, bajeczkę o starym, bogatym i znudzonym życiem królu, który polecił swemu nadwornemu filozofowi, aby wynalazł specjalnie dla niego nową, trudną grę. Po kilku dniach filozof przyszedł do monarchy z szachami i zapoznał go z zasadami gry ,która bardzo się królowi podobała, a zapytany o nagrodę, poprosił o drobnostkę: tyle ziaren pszenicy, ile można ułożyć na 64 polach szachownicy. Ale — pszenica miała być ułożona w następujący sposób: na pierwszym polu — 1 ziarno, na drugim — 2, na trzecim — 4, na czwartym — 8, na piątym — 16, na szóstym — 32, na siódmym — 64 itd. Zdumiony król polecił natychmiast spełnić skromną prośbę filozofa i dopiero przy realizacji „wypłaty" okazało się, że w całym królestwie niema tyle zboża... A może nasi matematycy obliczą sobie przy okazji ilu to ziarenek potrzeba było na honorarium filozofa?

Ale to jest bajeczka. Prawdziwe, historyczne początki szachów były nieco inne. W każdym razie już w X w. przed Chrystusem spotykamy pierwsze wzmianki o nich w literaturze indyjskiej, skąd przeszły szachy do Chin i Persji. W Chinach jeszcze przedtem znana była inna gra, zbliżona nieco do szachów, tylko jeszcze bardziej skomplikowana: przez środek „szachownicy" (większej niż na sza) płynął „strumień", który tylko część figur mogła przekraczać i chodziły one wtedy inaczej, niż na „lądzie", pozatym figur było więcej. Z Persji przeszły szachy do Arabów, a w VIII w. naszej ery do Hiszpanii, skąd przejęły je zwycięskie wojska dobrze wam zapewne znanego Karola Młota i rozpowszechniły w całej Europie.

Po niewielkiej „reformie", którą przeszły szachy w wieku XV przybrały one swą dzisiejszą postać.

Taka jest historia szachów.

Następny dział poświęcimy w całości regułom gry. Nie są one zbyt trudne, prawdziwe trudności, ale i poznawanie prawdziwego piękna szachów — zaczną się nieco później. Dziś, na zakończenie — jedna tylko jeszcze mała prośba do naszych Czytelników:

Twórzcie w Waszych świetlicach koła szachowe, poznawajcie urok tej gry, organizujcie turnieje, badajcie teorię szachową. Ze strony władz harcerskich i szkolnych inicjatywa Wasza spotka się z jak najżyczliwszym poparciem.

W sprawach wątpliwych, czy niejasnych — piszcie do nas. Odpowiemy na każde pytanie.

JAN PTASZKOWSKI, Oświęcim — najbardziej udany z przysłanych wierszy jest „Ranek", pozostałe słabe. Wiersz zakwalifikowano, po pewnym czasie ukaże się w druku. Felieton niezły, ale nie dla naszego pisma.

ANDRZEJ LUBACH — Twoja dziesięciostronicowa nowela jest bardzo udana. Wydrukujemy.

JANUSZ ROSZKO, Kraków donosiliśmy ostatnio, że reportaż i nowela (również bardzo obszerne) znajdowały się w czytaniu. Już przeczytane i zakwalifikowane do druku, muszą jednak czekać kolejki (mimo aktualności „Semperitu").

JERZY KWIATKOWSKI — notatki nie wykorzystamy. Pozdrowienia.

JANUSZ M. pisze: „...Gdy biorę do ręki „Świat Młodych", zaczynam zawsze od poczty. Jak przeczytam, „lecę" na ostatnią stronę do Sportu. Dalej skaczę do dwu kącików: filatelistycznego i Szukamy Przyjaciół. A teraz najprzyjemniejsze. Czytanie. Powieść „Skrzydła nad Arktykiem". Czytam parę razy z rzędu i przechodzę do „W marszu". A potem składam „Świat Młodych" i czytam wszystko od początku,. Myślę — że najważniejsze z tego jest to — że czytasz cały numer.

A. JAMIRECKI. Warszawa. List przekazany red. działu światopoznawczego.

JERZY GRABOWIECKI — wiersz narazie nie do druku, prosimy o materiały z życia szkolnego.

K. WOJCIECHOWSKI z Zielonej Góry.

Dziękujemy za miły list. Twoje obszerne opowiadanie z życia szkolnego jest w czytaniu.

A. KUDASIK — „KULIG" — jak sam się domyślasz nieaktualny.

LEOPOLD ZATUROWSKI. Kłodzko, reportaż niezły, nadaje się do druku, czeka jednak swojej kolejki.

KOL. PIECHOWIAK z Wągrowca — przyjmujemy Twoją propozycję i sądzimy, że już w najbliższym czasie przyślesz obszerną korespondencję oraz ciekawe wywiady o których informowaliśmy w luźnych kartkach. Rysunek dobry, będzie mógł być wykorzystany jako ilustracja do ewentualnego reportażu z życia Twojej szkoły w Wągrowcu.

T. DORUCH — z Łodzi — donosisz, że w tym tygodniu idziesz do szpitala na operację. Życzymy Ci szybkiego powrotu do zdrowia.

A. WITKOWSKI. Możesz nadsyłać wzm'anki do działu „Listem Poleconym", który jest odpowiednikiem dawnego „z ust do ust".

Z. RUDZIŃSKA. Wbrew Twoim przypuszczeniom, reportaż ze zbiórki harcerskiej jest bardzo miły i szczerze, z prostotą napisany i ukaże się w druku. Musi jednak odczekać w szufladzie redakcyjnej. Mamy bowiem dużo prac Czytelników zakwalifikowanych do druku.

„BEATA" — wiersz jest istotnie nieudolny, rażą szczególnie rymy. Ale to nie znaczy, by już stanowczo zerwać z twórczością poetycką. Pozdrowienia. Prośba koleżanek będzie spełniona.

KRZYSZTOF ŻAK z Łańcuta — reportaż lepszy od wierszy. Ale wydaje mi się, że mógłby być jeszcze lepszy.

HENRYK HYLIŃSKI — opowiadanie jeszcze słabe.

LESZEK TROJANOWSKI — o nic nie pytaj tylko przysyłaj.

IRENA OSMOLSKA — reportaż już nieaktualny, prośba będzie spełniona.

DARIUSZ CZAPIELSKI z Nowego Miasta — wiersz jeszcze nie do druku. Dziękujemy za pozdrowienia.

JANUSZ DOMAGALSKI — reportaż szkolny słaby. Opowiadanie o delegacie napisane dobrze. Spróbuj nawiązać kontakt także z redakcją „Pokolenia" lub „Młodej Wsi" — adres: Dworkowa 3.

J. SZPERKOWICZ z Olecka — Niestety nie dla naszego pisma.

Dziękujemy za listy, które nadesłali: Jerzy Kraskowski, Mieczysław Zagal harcerki i harcerze z Gródka (list przekazany do działu pracy harcerskiej), Józef Wiewióra, Tadeusz Kubieniec (prośbę spełnimy), Jerzy Mierób, Konstanty Rewie i Klaus Arbenfeld.

Prosimy naszych korespondentów o nadsyłanie krótkich prac. Inaczej — nie pomieścimy się wszyscy w numerze!

Cierpienia młodego redaktora czyli wszystko dobre co się dobrze kończy

Był sobie w klasie redaktor i jego młodszy pomocnik. Pisali gazetkę szkolną pod tytułem „Wyjec klasowy". Wisiało to obok pieca na tablicy. Nikt tego prawie nie czytał. Redaktor błagał na klęczkach, by pisano do gazetki, a jeżeli udało mu się ubłagać np. „sławnego poetę" klasowego S. Ranisza, wyglądało to w ten sposób, że poeta wręczał redaktorowi wiersz, a redaktor po przeczytaniu stwierdzał z bolesnym grymasem, że wiersz ten już przed tym napisał Mickiewicz. Poeta nie godził się z tym wyrokiem, uważał odrzucenie wiersza za obrazę, bo przecież on nie gorsze rzeczy może w przyszłości sam napisać. Redaktor nie wdając się w szczegóły talentu poety ruchem przyśpiesznym wycofywał się na zgóry upatrzone pozycje, gdyż poeta był zarazem najlepszym bokserem klasy.

Redaktor naradzał się ze swym pomocnikiem w sposób dość gwałtowny i ku uciesze klasy obiewali się atramentem, wyrywając sobie nawzajem kartki zapisane nieczytelnymi gryzmołami. Wreszcie łapał ich profesor. Dostawali dwóje i szli ochłonąć na korytarz, zaproszeni tam przez profesora. Po chwili przynosili „Wyjca klasowego", którego i tak nikt nie czytał, prócz nich samych. Jeżeli nawet ktoś przeczytał, wynikał z tego skandal. Bo powiedzmy „stało" tam, że drużyna Lichota wygrała z drużyną Ara II w stosunku 3:2.

Liczne grono czytelników, sportowców zachwycone wynikiem goniło redaktora obdarzając go wyrazami uznania i przyjacielskim poklepywaniem. Wreszcie redaktor, który uciekł od rozentuzjazmowanego tłumu wpadł na genialną myśl. Trzeba to mądrze zorganizować. Długo biedził się i myślał aż wreszcie zorganizował: Gazetkę teraz zaczął redagować zespół sześcioosobowy z kierownikiem literackim i artystycznym na czele. Artykuły pisali wszyscy, gazetka zaczęła się ukazywać regularnie. Odtąd redaktor wiódł błogi żywot, siedział tryumfalnie w ławce, nad którą wisiał szumny napis: „Kierownik zespołu literackiego i redakcyjnego", a dalej „Wyjec klasowy" i mała uwaga: „materiały nadsyłane w czasie lekcji będą odrzucane". Odtąd tylko miał jedną troskę, aby w czasie owacji na jego cześć, które odbywały się po ukazaniu się numeru, nie podrzucano go z radości zbyt wysoko. Bo mógł głową zbić lampę pod sufitem, a lampy szkoda.

LESZEK SZYMAŃSKI

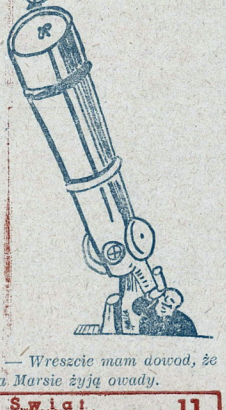

— *Wreszcie mam dowód, że na Marsie żyją owady.*

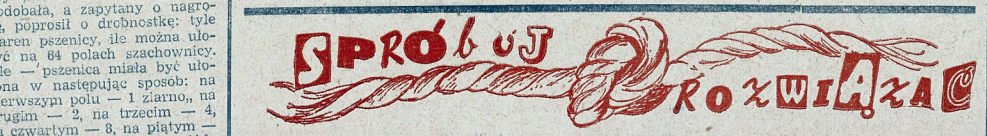

Rozwiązanie zadań z Nr 5

BILETY WIZYTOWE: 1) Litera-t, 2) Po-et-a.

Za dobre rozwiązanie zadań z nr 5 nagrody książkowe otrzymują:

1. **St. Dembicki** — Świecie n. Wisłą, ul. Dworcowa 17
2. **Miłosław Jakubowski** — Poznań, ul. Kochanowskiego 5
3. **Eugeniusz Krużycki** — Kaliska, pow. Starogard, woj. Gdańsk
4. **Sylwester Kwiatkowski** — Zabrze, ul. Reymonta 2
5. **Stefan Szydlik** — Pruszków, ul. Cedrowa 15 m. 10.

Termin nadsyłania rozwiązań — **10.IV.1949 r.**

Za dobre rozwiązanie przynajmniej jednego z tych zadań przyznanych zostanie drogą losowania

5 nagród książkowych

Odpowiedzi

M. Nowak — Warszawa; **P. Zimowski** — Gorlice, **J. Rusiecki** — Gdańsk, **Z. Guździk** — Jędrzejów, **W. Mościcki** — Lublin, **A. Drzewiecki** — Szczecin, **S. Pius** — Lipno, **R. Quas de Penno** — Warszawa, **W. Łatkowski** — Opole, **F. Zoszak** — Opole, **A. Szczeciński** — Kielce, **E. Kwiatkowski** — Zabrze, **W. Marczak** — Elbląg, **R. Kudasz** — Bogatyń, **Z. Okła** — Wólka Pleb., **M. Aleksandrowicz** — Gdynia, **H. Michalak** — Gryfów, **Z. Żukowski** — Olsztyn, **J. Hierowski** — Kazimierza Wlk, **I. Szczerek** — Kielce. Z nadesłanych materiałów nie skorzystamy. Wyjaśniamy przy tym, że wszelkie rysunki winny być wykonane bardzo starannie tuszem na białym niekratkowanym papierze i w miarę możności ozdobione. Rozwiązanie główne każdego zadania jak i wyrazy pomocnicze winny być brane z terminologii młodzieżowej, ze szczególnym uwzględnieniem spraw harcerskich.

„Zet-ka" — Bydgoszcz. Zagadka naiwna. Rebusik bardzo niestarannie narysowany, ciągówka natomiast za trudna (dryllingi). Prosimy o coś innego. Autorzy zadań otrzymują nagrody książkowe za najlepsze zadania miesiąca, rozwiązania swych zadań mogą nadsyłać.

Z. Augustyniak — Warszawa. Zadania coraz lepsze. Ostatnio nadesłane pójdą.

F. Dul — Nisko. Rysunki słabiutkie. Narazie radzimy zająć się rozwiązywaniem.

B. Kozak — Radom. Kwadraty magiczne wykonane bardzo starannie. Pójdą.

„Kostek" — Warszawa. Rysunek za duży, kratki do wpisywania za małe

Logogryf

Do podanej figury wpisać pionowo 11 wyrazów czteroliterowych o poniższych znaczeniach. Litery w kratkach zaznaczonych, czytane kolejno, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) Bliski, nieobcy, 2) Wykaz, lista, 3) Ptak nocny, 4) Miasto powiatowe w woj. olsztyńskim, 5) Popularna broń powstańców, 6) Rodzaj długiej chusty, 7) Czynność rolnicza, 8) Proszek do prania, 9) Wjazd do kopalni, 10) Bronz, z którego odlewają dzwony, 11) Duże pokoje.

B. Drążewski — Łomża

Krzyżówka

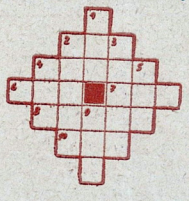

Poziomo: 2) Rodzaj laku, 4) Stężony roztwór cukru, 6) Stopień podoficerski w marynarce, 7) Owad kąśliwy, 10) Rzeka w Egipcie.

Pionowo: 1) Parów, wąwóz, 2) Olbrzymi wąż jadowity, 3) Jamochłonne zwierzątko morskie, 4) Sieć na ryby, 5) Roślina warzywna, 9) Zgoda, harmonia.

Sport MŁODYCH

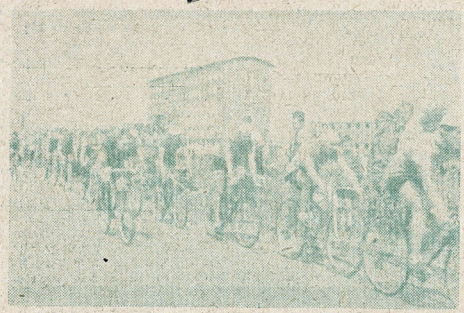

Kolarze pilnie przygotowują się do nadchodzącego sezonu „przekręcając" setki kilometrów. Już 1-go maja czeka ich wielki wyścig Warszawa — Praga.

Młodzi górą!

Każda niedziela przynosi coraz to nowe sensacje ringowe. Cieszy nas to, ponieważ autorami tych niespodzianek w większości są młodzi pięściarze.

Doskonała postawa Soczewińskiego, Ponanty, Kowalewskiego i innych w spotkaniach ze starymi rutyniarzami, świadczy, że nasze młode nadzieje nic sobie nie robią z głośnych nazwisk, uczą się, trenują i co najważniejsze piną się konsekwentnie w górę.

Cieszy nas również, że nasze władze sportowe potrafiły docenić odpowiednio tą postawę młodych zawodników powołując ich na specjalne obozy, z których z pewnością powrócą bardziej dojrzali i lepiej wyszkoleni. A może któryś z obozowiczów zasłuży sobie na bronienie barw narodowych?

Tym właśnie sprawiliby nam największą i najmilszą niespodziankę.

Półtora tysiąca uczestników w II-ch szkolnych igrzyskach

W czerwcu w dniach od 16-go do 20-tego br. odbędą się w Warszawie II ogólnopolskie Igrzyska Szkolne z udziałem reprezentacji wszystkich czternastu kuratoriów. W ramach igrzysk odbędą się zawody w lekkiej atletyce, pływaniu i piłce ręcznej.

Każde kuratorium wystawi reprezentację złożoną z 12 dziewcząt i 60 chłopców, co w sumie da imponującą liczbę 1.428 uczestników Igrzysk.

W lekkoatletyce i pływaniu reprezentacje będą liczyły po 15 chłopców i 12 dziewcząt, z tym, że do każdej konkurencji poszczególne kuratoria mogą zgłosić po dwóch zawodników. W siatkówce grać będą ośmioosobowe zespoły, zaś w koszykówce dziesięcioosobowe, w męskim szczypiorniaku 15, a w hazenie 10. Program nie przewiduje koszykówki dziewcząt ze względu na słaby na ogół poziom.

W lekkoatletyce przewidziane są następujące konkurencje: chłopcy — 100m, 1.500 m, sztafeta 4×100 i olimpijska, skok w zwyż, w dal, kula (5 kg), dysk (1 kg) i oszczep (600 g). Dziewczęta: 60 m, 4×75 sztafeta, skok w zwyż, w dal, kula (4 kg) i dysk (1 kg).

Pływanie obejmuje dla chłopców: 100 m stylami dowolnym, zmiennym i grzbietowym, 3 × 100 zmiennym, 5 × 50 dowolnym, dla dziewcząt: sztafety takie same, a indywidualne konkurencje na 50 m trzema stylami.

Igrzyska odbędą się na Stadionie WP, oraz w Parku Szkolnym.

Przypuszczamy, że impreza ta zgromadzi na starcie licznie młodzież szkolną i, że młodzi mistrzowie chlubnie będą kontynuować swoje sukcesy w późniejszej swej karierze sportowej.

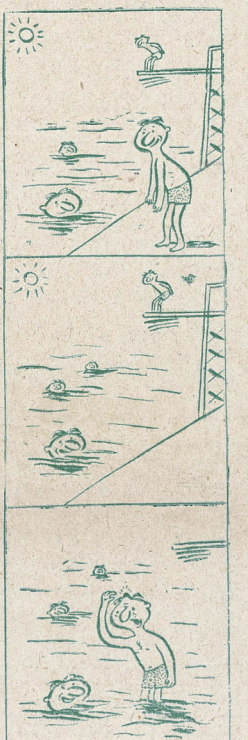

rys. Baro

Gramy w siatkówkę (2)

Gramy w siatkówkę

W ubiegłym tygodniu zapoznaliśmy się dokładnie z budową boiska do siatkówki. A teraz zaopatrzywszy się w piłkę przystąpmy do gry.

Co to jest set?

Na czym polega gra w siatkówkę? Otóż partia siatkówki dzieli się na tak zwane sety. Jeżeli rozgrywać będziecie mecz siatkówki grać będziecie musieli takich setów dwa. Set uważa się za skończony, jeżeli jedna z grających drużyn uzyska 15 punktów. Wówczas rozgrywa się drugiego seta; i jeżeli ten również wygra ta sama drużyna, wygrywa automatycznie mecz w stosunku (setów) 2 : 0.

Jeżeli jednak, na przykład, drużyna A wygrała pierwszego seta, zaś drużyna B drugiego, wówczas należy rozegrać trzeciego seta, który zadecyduje o ostatecznym zwycięstwie. W takim wypadku jeden z tych dwóch zespołów zwycięży 2 : 1.

Kłopoty z punktami

Napisaliśmy, że w secie należy zdobyć 15 punktów. Otóż nie zawsze jest to regułą. Może się zdarzyć, że drużyna A grając z drużyną B prowadzi w punktach 14 : 13. Jeżeli zdobędzie następny punkt wygra całego seta 15 : 13, jeżeli natomiast los poszczęści drużynie B w zdobyciu punkta — ta wyrówna na 14 : 14, wówczas należy grać do 16-stu lub tak długo, dopóki jedna z drużyn nie uzyska przewagi dwóch punktów. Może więc być wyniki 15 : 13, 16 : 14, 17 : 15, 18 : 16 itd., ale nigdy 15 : 14, 16 : 15 itd.

Jak serwować?

Drużyny ustawiają się po obu stronach siatki (linii boiska nie wolno przekroczyć), poczem jeden z zawodników „serwuje". Na czym to polega? Trzyma on piłkę w lewej dłoni, zaś silnym uderzeniem prawej ręki stara się przerzucić piłkę na drugą stronę siatki.

Liczymy punkty

Przypatrzcie się teraz na nasz rysunek. Widzicie na nim dwie drużyny: A1, B1, C1, D1 oraz ABCD. Załóżmy, że zawodnik A1 serwuje, piłka przechodzi na pole przeciwnika, tu zawodnicy A i C podają ją sobie, przenoszą piłkę przez siatkę, tam gracz B mocno „ścina" i piłka ląduje na polu przeciwnika. Piłki nikt nie odbił, drużyna ABCD zdobyła 1 punkt (prowadzi 1 : 0). Serwuje wobec tego nadal. I teraz widzimy inną sytuację. Gracz B przejął piłkę i zrównoważył się takim samym ścięciem. Ale tym razem ABCD(1) nie straciła punktu (nie ma 1 : 1), lecz straciła serw czyli prawo serwu odtąd przysługiwać będzie drużynie ABCD itd.

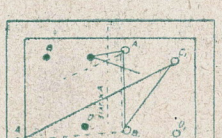

— SERW PIERWSZY
--- SERW DRUGI

Czego nie wolno

Na jednym polu piłka może być dotknięta przez trzech graczy, przyczym ten ostatni musi ją już przerzucić. Większa ilość odbić równa się utracie punktu. Piłki nie wolno przytrzymywać, wypychać, lecz natychmiast odbijać. Serwuje się z prawego rogu boiska stojąc za linią. Serwujący zmieniają się kolejno.

Jeżeli czego nie będziecie rozumieć lub będziecie mieli jakie wątpliwości, względnie specjalne pytania, napiszcie do nas, a natychmiast postaramy się pomóc. Byle prędko, gdyż za tydzień pomyślimy już o koszykówce.

Hokeiści polscy ponieśli dwie porażki na terenie Czechosłowacji. W Morawskiej Ostrawie przegrali 2 : 8 (0 : 6, 1 : 1, 1 : 1), zaś w Ołomuńcu 2 : 7 (1 : 3, 1 : 3, 0 : 1). W obu spotkaniach przeciwnikiem Polaków była reprezentacja CSR.

REDAKTOR SPORTU ODPOWIADA

Kol. kol. Horasymowicz i Leśko. Nie jesteśmy tygodnikiem sportowym, toteż nie możemy zamieszczać aktualnych sprawozdań z meczów. Może spróbujcie napisać do nas coś innego, ogólnego z Waszego terenu sportowego.

Kol. Krupiński, Bochnia. — Co do sportowej odznaki państwowej wysyłamy do Was wyczerpujący list, z którego się wszystkiego dowiecie.

Kol. Stalka, Lublin. — O ile nam wiadomo w Lublinie dobrze zorganizowaną sekcję bokserską posiada Międzyszkolny KS, ponadto czynne są znane kluby bokserskie, takie jak Lublinianka. Radzimy się tam zwrócić, tym bardziej, że jak piszecie, jesteście już zaawansowani w boksie.

Kol. Strychalski, Częstochowa. Pierwszy po wojnie międzynarodowy mecz piłkarski rozegraliśmy w 1946 roku na boisku Legii w Warszawie. Uległiśmy wówczas Rumunom 1:2.

Kol. Broniewicz. — Polskie rekordy w sprintach należą do Zasłony (100 m — 10,6) oraz Trojanowskiego (200 m — 22,0) i zostały ustalone jeszcze przed wojną. Po wojnie czas Zasłony wyrównali: Rutkowski i Kiszka, zaś rekord Trojanowskiego polepszył Lipski (21,8), czas ten jednak nie jest oficjalnie uznany.

Klub FILATELISTÓW

DZIŚ drukujemy wypowiedź jednego z naszych starych kolegów klubowych na temat: „DLACZEGO ZBIERAM ZNACZKI POCZTOWE I ZAJMUJĘ SIĘ FILATELISTYKĄ".

„Leży przedemną list. Na białej kopercie czerwieją przez środek zwartymi linami nazwisko i adres. Z boku odcina się czerwoną plamą znaczek wartości 15 zł, wydany dla uczczenia Kongresu Zjednoczeniowego Partii Robotniczych.

Jest to jeden z najpiękniejszych znaczków Polski.

Mam ładny zbiór znaczków całego świata. Mogę siedzieć długo i przyglądać się moim znaczkom. Odbywam cudowne podróże po kartkach albumu dokoła świata. W uszach gra mi wschodnia muzyka egzotycznych Indii, Siamu, Japonii, Chin.

Mijają długie godziny, a ja siedzę wciąż nad barwnymi skrawkami papieru.

Od chwili, gdy zacząłem zbierać znaczki, mija rok. Teraz patrzę na znaczek innymi oczami. Zastanawiam się często nad artystyczną techniką wykonania. Zdaję sobie sprawę jak wielką rolę propagandową spełnia znaczek na świecie".

Kupon Klubu Filatelistów „Świata Młodych"

Nazwisko i imię .....

.....

Wiek ..... Klasa .....

Adres .....

JAK NALEŻY UŁATWIĆ SOBIE ZBIERANIE ZNACZKÓW?

Każdy filatelista powinien zaopatrzyć się w pewne pomoce. Pomoce te należy przechowywać w jednym miejscu, przeznaczając na nie szufladę stolika czy też biurka.

Do niezbędnych pomocy filatelistycznych należy:

a) album, b) katalog, c) zeszyty na znaczki zapasowe, d) papierki gumowane cięte i w rolce, e) szkło powiększające, f) szczypce, g) miseczka lub wanienka, h) bibuła, i) szklane płytki, j) narożniki.

Filateliści bardziej zaawansowani powinni posiadać jeszcze dodatkowo miarkę milimetrową. Dalsze wskazówki znajdziecie w następnym numerze.

DLA CZYTELNIKÓW - FILATELISTÓW, KTÓRZY OSTATNIEGO NUMERU NIE CZYTALI, WZGLĘDNIE NIE MOGLI GO KUPIĆ, ZAMIESZCZAMY JESZCZE RAZ KUPON KLUBU FILATELISTÓW, KTÓRY NALEŻY WYPEŁNIĆ I WYSŁAĆ NA ADRES REDAKCJI: RED. „ŚWIATA MŁODYCH", WARSZAWA, UL. DWORKOWA 1/3, Z DOPISKIEM NA KOPERCIE: „KLUB FILATELISTÓW „ŚWIATA MŁODYCH".

„ŚWIAT MŁODYCH"
Tygodnik Związku Harcerstwa Polskiego

Wydaje: Sp. Wyd. - Osw. „Czytelnik"

REDAGUJE: zespół
ADRES REDAKCJI: Warszawa, Dworkowa 1/3, tel. 433-57, 432-58.
ADRES ADMINISTRACJI: (dział prenumeraty): Warszawa, pl. Trzech Krzyży 16, tel. 810-26.
DRUK: Zakł. graficzne „RSW" Prasa — Smolna 12.
WARUNKI PRENUMERATY: Cena egzemplarza 10 zł, w prenumeracie miesięcznej 3 zł, kwartalnej 100 zł. Prenumeratę zamawiać przekazem PKO — wpłacać na konto czekowe PKO 1-8001. „Świat Młodych"

B-66913